Wstęp.

Pożądana wielce jest szczerość w zwyczajnych na świecie stósunkach, daleko pożądańsza we wszelkich robotach publicznych. Kto pisze a szczególniéj kto zamierza sobie przez pismo czasowe działać na umysły, powinien wyraźnie powiedzieć czego chce i cały kierunek dążeń swoich wytknąć; jeśli otwartość wyświecająca czystość pobudek, nie zjedna mu przyzwolenia i współczucia, zawszeć szacunek obudzi. My wierzymy, że najsnadniéj jest porozumieć się ludziom których mowa niepowikłana zastrzeżeniami myśli, których słowa nieprzytępione wyrachowaniem.

W obcych krajach pisma czasowe służą ku sprowadzeniu rozstrzelonych wyobrażeń do właściwych ognisk. Każde przekonanie poważne ma ten organ, chorągiew widomie dla przyjaciół i przeciwników powiewającą; tym sposobem opinie ścierają się, w śród jasności dziennéj, rzadkie są nieporozumienia, rzadsze jeszcze zawody. U nas dzieje się inaczéj, u nas ciągły mrok panuje na pobojowisku: słychać głośne hasła, namiętne odgłosy, ale niełacno rozróżnić széregów; oprócz tego zbiorowe publikacye jak gdyby współubiegając się o dopełnienie obowiązków staropolskiéj gościnności stoją otworem dla wszystkich. A przecież obejrzmy się w około a zobaczymy, że ile razy w naro-

dzie jakim dojrzały wyobrażenia i ruch umysłowy silnie się obudził, zaraz się odznaczyły, cowięcéj przeciw sobie stanęły wszelkie rzeczywiste żywioły, gdyż prawdziwą żywotność znamionują w pewnéj mierze cechy wyłączności. Prawda przeświadczona o sobie pragnie się odsłonić ludziom i przekonać, prawda koniecznie do zwycięztwa dąży; zaś żeby zwyciężyć trzeba walczyć; walką jest całe życie, walka o zasady byle szczéra i szlachetna uzacnia człowieka, a ma i to za sobą, że przeciwników wzajemnego szacunku uczy, bo kto z bliska drugiemu w oczy spojrzał, ten w nim powinien uszanować godność istoty obdarzonéj duszą nieśmiertelną; tylko mgła oddalenia każdy przedmiot przyćmiewając a w fantastyczne zwiększając go rozmiary, do drażliwości powód daje.

Stanowisko nasze chcielibyśmy na razie jasno odznaczyć, dla tego pomimo mnogich niekorzyści jakie dorywczy wykład pociąga za sobą, powiemy ile tylko da się wypowiedzieć w krótkim wstępie. Rzecz oczywista, że nie zakładamy sobie ani się spodziewamy myśli naszéj zaraz w całéj pełności pokazać, wiemy że nawet żadnego z pojedyńczych zadań, a poruszymy ich tu wielką liczbę, wyczerpnąć dostatecznie niezdołamy; w téj chwili nie chodzi nam i chodzić nie może jak tylko o główniejsze zarysy.

Prawdą bezwzględną jest dla nas objawienie chrześciańskie, powagą kościoła katolickiego zatwierdzone jedném słowem jesteśmy katolikami. To oświadczenie wystarczy przynajmniéj do czasu żeby pokazać jak pojmujemy Boga, stworzenie i stosunek Boga do stworzenia, co myślimy o duszy nieśmiertelnéj. Ale każda prawda bezwzględna, a tem bardziéj prawda objawiona, musi się pomimo niezmienności swojéj treści wewnętrznéj, wyrażać w czasie, na zewnątrz, odpowiedniemi stanowisku ciągle żyjącéj myśli ludzkiéj układami (systematami). Tłomaczymy się jaśniéj. Dla filozofii dzisiejszéj zwłaszcza niemieckiéj, wszelkie objawienie jest prawdziwe ale względnie, docześnie; właściwie

każda religia, każdy układ filozoficzny jest objawieniem; nam powtarzamy objawienie chrześciańskie dopiero jest prawdą bezwzgledną i ta prawda w niewzruszonych dogmatach pod strażą kościoła spoczywa. Wiara przyjmuje objawienie a przyjmuje je w całości, ale jest ono zarazem koniecznym przedmiotem badań rozumu (wyraz *rozum* bierzemy w najobszerniejszém znaczeniu). Kto wierzy ma obowiązek nad treścią wiary swojéj łamać władze duszy nieśmiertelnéj. *Credo ut intelligam* pisał przed ośmioma już wiekami S. Anzelm. W téj pracy rozumowéj nigdy przez ciąg życia człowiek pojedyńczy wysokości przedmiotu niedomierza, nie jest zdolny stanąć na stopniu objawienia w jego pełni, przychodzi tylko do coraz doskonalszego pojmowania. Takie jest prawo dla jednostek, takie i dla całéj ludzkości; praca rozumu wzięta razem w całéj ludzkości i w szeregu wieków stanowi w każdéj epoce następnéj względem poprzednich poczynając od Chrystusa, postęp na coraz wyższe szczeble w pojmowaniu objawienia. Umysł Pytagoresa, umysł Platona, pracowały w starożytności, żeby schwycić i wyświecić szczątki objawienia pierwotnego i przygotowały się za pomocą szkół greckich drogi nowożytnému myśleniu. Zaś skoro Chrześciaństwo przyniosło całe objawienie jął się nad niem rozum ludzki zastanawiać i wyprowadzać wszystkie następstwa. Używał do tego środków odpowiednich swojemu stanowisku czasowemu i tak utworzył się nieprzerwany łańcuch tradycyjny myślenia promieniejący w średnich wiekach wielką tryadą imion ś. Anzelma, ś. Tomasza i ś. Bonawentury, mający w nowszych czasach swoje ogniwa w Mallebranche, w Leibnicu, w Vico, a swój jakby środek ogólny w ś. Augustynie. Taki postęp myślenia przyznajemy za prawdziwy; spuściznę jaka się nam na téj drodze z dziedzictwa wieków dostała oczyścić, wykryć, do całości przyprowadzić, będzie jedném z głownych zadań pracy naszéj.

Oczywistą jest rzeczą, że dla téj filozofii którą wszelkiém prawem nazwać można katolicką, stano-

wisko prawdy do rozumu jest zupełnie przedsobne (objectivum), co postaramy się objaśnić i udowodnić w następstwie. Atoli z prostego już postawienia kwestyi wypływa, że filozofia dzisiejsza zacząwszy od Descarta właśnie przeciwny obrała kierunek, to jest, że wedle niéj prawda względem rozumu ma stanowisko wsobne (subjectivum): z tąd jednostronność, z tąd niepłodność układów nowszych. (*)

Stanowisko to odwrotne tak się upowszechniło w ostatnich czasach, że nawet filozofowie katoliccy prace swoje na podstawie wsobności pobudowali i namnożyło się szczególniéj w obecnéj chwili, w łonie samejże katolickiéj nauki, układów opartych na owéj jednostronnéj zasadzie. W Niemczech widzimy po próbach Baadera i Goerresa ściślejsze prace Günthera i Staudenmayera; we Francyi po hałaśném pojawieniu się Lamennego wystąpił w dojrzalszy sposób Bautain; we Włoszech pierwszeństwo nad innymi trzymają Galuppi a jeszcze bardziéj Rosmini. Zasług cząstkowych niezaprzeczamy tym pisarzom, uznajemy w nich wielką potęgę umysłową, poważną a sumienną pracę oceniamy, wszakże jakkolwiek będziemy się starali korzystać ze wszystkiego co się dobrego w ich układach znajduje, żadnego przyjąć niemożemy w całości. My przekonani jesteśmy, że się niegodzi prawd bezwzględnych wystawiać na szwank błędnego rozumowania, zależnemi je od zręczności w szermierce dyalektycznéj robić. Wiemy że droga czysto rozumowa prowadzi do ustąpień, a przynajmniéj do przemilczeń i że trudno zwykle w systemata racyonalne wtłoczyć wszystkie dogmata w całéj ich pełności. Tu pozwolimy sobie jednéj uwagi. Gdyby Pan Bóg objawił się

---

*) Dzisiejszéj spekulacyi filozoficznéj niemieckiéj nieodmawiamy sprawiedliwości; wyrobiła ona ścisłość językowi, ułatwiła tryb analityczny w rzeczach oderwanych i posunęła dzieło ześrodkowania początków wszelkiéj nauki.

ludzkości tylko w prawdach logicznych myśli ludzkiéj; wtedy idąc ich szeregiem do góry moglibyśmy dojść aż do źródła bezwzględności: ale Pan Bóg objawił się i musiał się objawić wedle prawd logicznych swojéj bezwzględnéj świadomości, raz zgodziwszy się na objawienie do szeregu tych ostatnich prawd odnieść będziemy musieli wszystko to do czego pojęciem niezdołamy dosięgnąć. Jeżeli rozum ma przyjść do wszelkiéj prawdy, gdzie poręka że się niezatrzyma zanim u kresu stanie? Jestże znowu jaki kres konieczny, a jeżli jest czy mógł go kto inny oznaczyć jak Pan Bóg i czyż nie wiara jedynie doprowadzić nas do uznania nieuchronności boskiego w téj mierze wdania się jest zdolna? Zresztą do pojęcia prawd logicznych wznosi się tylko człowiek który stanął na stopniu własnego przeświadczenia; gdzież podstawa pewności dla ludzi skąpiéj umysłowo obdarzonych lub niżéj usposobionych? A przecie ta podstawa musi być bezwzględna, jedna dla wszystkich. Przyznajemy że jak w filozofii prawdy oderwane odsłonione są dla niewielu, tak i w religii pewną całość dogmatyczną osięgają tylko umysły silniejsze. Wszakże filozofia nierości sobie nigdy prawa do pewności bezwzględnéj, nadto formułami niedostępnemi dla tłumu osłoniona, zwykle przystaje na swoje odosobnienie, gdy tymczasem religia jest i musi być ta sama dla mądrych i dla prostaczków, a choć czystsze są pojęcia u ś. Augustyna albo u ś. Tomasza jak u chłopka naprzykład, chłopek jednakże wierzy w to samo, ani mniéj ani więcéj jak to w co wierzy ojciec kościoła. Prawda, że między Chrześcianami miłość zaciera różnice rozumowe, ależ z pomiędzy dwóch ludzi wierzących a niezgadzających w sobie rzeczywistych pierwiastków prawdy, wiary i rozumu, nie ten większy przed Bogiem który więcéj pojął, ale ten który więcéj ukochał. Miłość w wierze wyraża się rozlicznemi obrzędami i niema tak drobnego zwyczaju któryby niesłużył do podsycania téj boskiéj w człowieku iskry; racyonalista przyzwyczajony wszy-

stko odnosić do pewnego własnego porządku do całości przyjętych pojęć, będzie musiał jeśli nie potępić obrzędy, przynajmniéj się od nich przez sumienność oddalić, uczuje powiedzmy śmiało pogardę dla nich lub niechęć, a jeśli doświadczenie pobłażania go nauczyło i rozwinęło w nim zmysł odgadywania poczciwych w rzeczach ludzkich pobudek, przyzna co najwięcéj, że pielgrzymki, odpusty i inne żywéj katolicyzmu siły znamiona, tę tylko względną posiadają wartość, że przerywają w życiu ludzkiem ciąg wyłącznych poszukiwań celów osobistych.

Są między katolikami tacy którzy usilnie starają się pogodzić wypadki spekulacyi racyonalnéj z dogmatami chrześciańskiemi, wszakże ufamy że u nich powaga systematów naukowych obcych niegłuszy powagi nauki i tradycyi kościoła. Jeśliby jednak niektórzy tkwili w nawyknieniu umysłowego posłuszeństwa, choć tylko w metodzie, dla nauki niechrześciańskiéj, niechaj rozważą zarzut jaki Melchior Canus robił Scholastykom swego czasu. Canus wołał: „Habent Aristotelem pro Christo, Averroem pro Petro, Alexandrum (mowa tu o Alexandrze z Afrodyzei) pro Paulo." Campanella przyzywając z całéj siły przyjścia filozofii Chrześciańskiéj o herezyę nawet naukę scholastyczną oskarżał.

Sposób nasz pojmowania katolicyzmu jako nauki czasowéj odznaczyliśmy o ile było można krytycznie, atoli nie kieruje nami polemiczna żarliwość. Polemiki uczciwéj nie unikamy i unikać nie będziemy, przyznaliśmy już na początku że walka zasad jest nieuchronna na świecie; ale głośno oświadczamy, że niemamy żadnéj wyłącznéj skłonności do zapasów piśmiennych. Dziś minęły czasy dysput po szkołach, dziś więcéj niż kiedy trzeba nauki żywéj; otóż wierzymy gorąco i będziemy się starali wykazywać, że tą nauką żywą jest tylko katolicyzm. Przypatrzmy się jak nauka katolicka rozwięzuje zadanie przeznaczenia pojedynczego człowieka i każdego całego spółeczeństwa na świecie.

Życie człowieka noszącego na sobie piętno grzechu pierworodnego, a mającego krótką próbę doczesną do przebycia żeby przez wybór wolnéj woli osięgnąć nieśmiertelne szczęście albo niedolę nieśmiertelną, powinno być ciągłém zadosyćuczynieniem z jednéj, nieustanném dążeniem ku doskonałości z drugiéj strony; kształcenie przeto władz duszy za pośrednictwem ofiary uważamy za prawo każdéj pojedyńczéj osobistości. Pojęcie ofiary już z pierwotnego objawienia leżało w sumieniu wszystkich ludów, niéma w całym ciągu dziejów ani jednego narodu, jakkolwiek niejeden z nich zdziczał i od podań pierwszéj bezpośredniéj prawdy po upadku odstąpił, któryby nieskładał ofiary uważając ją jakby za węzeł między ziemią a nadziemskiemi potęgami. Ofiara przedchrześciańska była przedsobna; krwawa; w caléj starożytności tem straszniejszą widzimy ofiarę im gdzie objawienie pierwotne bardziéj zamierzchło. Syn Boży sam krew swoją wylał w ofierze i zniósł przedsobność-wsobną ofiary mówimy przedsobność-wsobną bo czysto przedsobna krwawa ofiara istnieje w wojnach i w karze śmierci, ofiara zbliżyła się do wsobności i stało się wedle przepowiedni Dawida: „w całopalnych ofiarach niebędziesz się kochał, ofiara Bogu wdzięczna jest duch strapiony: serca skruszonego i uniżonego Boże niewzgardzisz.“ (Ps. L.) Wsobna ofiara prowadzi do zupełnego zadosyćuczynienia i życie ducha doskonale rozwinąć pozwala, zaś polega na zwycięztwie nad skażoną wola i nad ciałem. Duma, sobkostwo i zmysłowość póki panują w człowieku, póty on przeznaczeniu swemu odpowiedzieć niemoże. Każdy wtedy dopiero stawia pierwszy krok ku doskonałości, kiedy wiara z któréj się konieczność ofiary wywięzuje, rozbudzi w nim pokorę, miłość i siłę do ujarzmienia ciała.

Że duch w każdym razie ma wziąść górę nad ciałem, że ciało jest tylko grubą powłoką, więzami, które przykuwają pierwiastek nieśmiertelny do znikoméj czasowości, są to prawdy jeśli nie powszechnie uznane,

to przynajmniéj bardzo rozpowszechnione i niepowtarzalibyśmy ich, gdyby dziś znowu nauka wyszukująca biegunowych sprzeciwieństw ku ich kojarzeniu, w obronie cielesności niestawała. My ciału praw koniecznych niezaprzeczamy, szanujemy je jako podścielisko ducha, jako naczynie które obejmuje w sobie nieśmiertelny pierwiastek i rozumiemy obowiązek zachowania go we wszelkiéj czerstwości; z całą tylko siłą przekonania występujemy przeciw zmysłowości czy nagiéj i ochydnéj, czy ukrytéj pod powabnemi kształtami natchnienia greckiego. Nie miękka roskosz w zapomnieniu wszelkiéj godności, ale cierpienie szorstkie, cierpienie probuje i czyści człowieka. Cierpi niezawodnie ten kto odpycha łatwe uciechy, cierpi kto depce i daje deptać po swojéj miłości własnéj, kto się samolubnych poszukiwań wyrzeka, jedném słowem kto obowiązkom życie poślubował; niema cnoty, niebyłoby zasługi bez cierpienia. Nieprzeczymy że droga ofiary jest cierniową drogą, sam Chrystus upadał pod krzyżem; ale z cierpienia płynie życie i młodość, gdy tymczasem z uciech ziemskich rodzi się wczesna zgrzybiałość i niemoc martwa; cierpienie nazwalibyśmy gymnastyką duszy.

Tylko moralność z ofiary idąca jest czystą i prawdziwą, ona tylko się zgadza z nieśmiertelnemi zasadami wiary i piękności; ogłądność i umiarkowanie w postępowaniu, pewien wstręt do nadużyć wyradzający się z ogłady nie są moralnością, nie wyłączają one ani dumy ani sobkostwa i jeśli dają pewną porękę spółeczeństwu w ludziach oświeconych, to dla wielkiéj liczby nic nie znaczą, od ludu wymagać ich niemożna; a przecież nawet dla filozofa lub prawnika niechrześciańskiego dwóch moralności przypuścić niepodobna. My żywo czujemy że niema innéj moralności tylko ta która się na bezwzględnéj podstawie opiera, która ścisłością przepisów ułomności ludzkiéj w pomoc przychodzi, ofiarę i przyjęcie cierpienia za pierwszy obowiązek podaje. Rzecz oczywista że im

powołanie czyje wyższe tém większa ofiara, tém próba cierpień cięższa. Z cierpienia dopiero rodzi się światło dla duszy, przez cierpienie przychodzi człowiek do poznania siebie samego, cierpieniem tylko do wysokiego natchnienia się wznosi. Mówią że jest na wschodzie owad który kiedy skroś przebity wielką jasnością świeci; apostołowie wzniosłych myśli, ludzie świętego zapału podobni do tego owadu. Kto ma młodą nieskalaną duszę i chęć do poświęceń a żadnéj nie wypełnia ofiary, kto łatwe z nieświadomości przyjmuje życie, ten się od swego powołania oddala; niewie że człowiekowi który wcześnie na barki swoje krzyża Zbawiciela niewziął w ciężkich próbach na świecie siły zabraknie. Dziś większe mamy obowiązki, świętsze powołanie niż kiedy, skwapliwości do poświęceń nie brakuje, ale czy wielu rozumie na czém poświęcenie polega? Czy na ochoczéj gotowości wyrzeczenia się życia spokojnego, czy na gwałtowności wyobrażeń? Nie bynajmniéj; poświęcenie winno prowadzić przedewszystkiém do poprawy wewnętrznéj, któréj pierwszemi są warunkami zdeptanie złych nałogów, choćby uprawnionych obojętnością ludzi albo ich przyzwoleniem i pogarda miękkiego życia. Sposobność do poświęceń bez granic nie często się wydarza, ale kto do codziennéj nienawykł ofiary, kto swego ciała i swojéj dumy nieumartwił, ten albo niezdoła poświęcić się w chwili stanowczéj albo w poświęceniu nie wytrwa. My Polacy nie dość że mamy ze złemi skłonnościami wprost walczyć, nas ruchawa wyobraźnia, często świetna, zawsze miła w zewnętrznych objawach, odwodzi zwykle od zrozumienia gdzie są powinności życia; zaś pewna niestałość charakteru przy niechęci ku przycięższéj pracy i usposobieniu do towarzyskości, sprawia że za nadto na zewnątrz żyjemy; otóż jesteśmy mocno przekonani, że kto nie wypełnia zwyczajnych obowiązków tém świętszych i większych im prostszych, kto się często w siebie nie cofa i nie wyrzekł się wszelkich na szla-

chetnych pobudkach serca i rozumu nieopartych ze światem stosunków, ten żadnemu wyższemu powołaniu nieodpowie.

Teraz cośmy tylko mówili o pojedyńczych ludziach da się do spółeczeństw, do narodów zastósować. Jakoż o ile kształcenie władz duszy przez cierpienie jest przeznaczeniem człowieka, o tyle rozwijanie własnéj swojéj idei historycznéj za pośrednictwem instytucyi na ofierze opartych cel dla każdego spółeczeństwa stanowi. Bóg utworzył narody i narodowości. „*Czem nóty w akkordzie*, mówi jeden wielki pisarz, *tém narodowości są w człowieczeństwie, rozmaitością i zgodą razem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka.*“ Otóż tylko poświęcenie w obyczaje wkorzenione i płynąca zeń miłość mogą dozwolić wzrostu myśli przez Boga w każdy naród wszczepionéj, wśród istniejących wszędzie złych namiętności, chroniąc jedność dążeń od rozlicznych żywiołów rozprzężenia. Dla ludów jak dla indywiduów moralność musi mieć niewzruszone podstawy; niedosyć oprzeć ją na silnych prawach z jednéj, na pewném ogólném wykształceniu z drugiéj strony. W narodach jak i w indywiduach materyalizm warzy w zarodzie wszelką chęć szlachetną, śmierć ducha za sobą prowadzi. Im większe który naród przechodzi próby, im się nań twardsze zwaliły nieszczęścia, tém wznioślejsze tém świetniejsze mają być jego losy; Pan Bóg ostrzega i światło daje nieszczęściami, od narodów jak od pojedynczych ludzi zależy, głos karania zrozumieć i przez poprawę wznieść się do całéj wysokości powołania swojego. (*)

*) Wielką otuchę, radość jak najszczerszą czujemy ile razy znamiona prawdziwego poświęcenia, dążenia surowsze spostrzeżemy między ziomkami, dla tego cieszymy się na usiłowania około rozszerzania trzeźwości i jak najgłośniéj na samym wstępie współczucie nasze szlachetnym jéj głosicielom oświadczamy.

Czy wypływa jako następstwo z teoryi ofiary, że ludzie wszelkiemu złemu poddać się mają, w złem uważając tylko dopuszczenie Boże? Czy mamy być zdania owego różnowiercy, który utrzymywał że Turcy są narzędziami gniewu bożego, że stawać przeciw nim jest to odmawiać posłuszeństwa Opatrzności? Nie bynajmniéj. My uważamy że walka ze złem jest poświęceniem, do poświęceń prowadzi, tylko pobudki do walki powinny być w bezwzględnych zasadach czerpane, tylko do każdego świętego celu za pomocą środków chrześciańskich dążyć należy. W każdym zresztą razie narzędzi złego na świecie nic nie tłumaczy. Dla wszystkich ze źródła nauki objawionéj płyną obowiązki, razem jeśli nie pierwéj jak prawa. Między obowiązkami a prawami panuje konieczna na każdym szczeblu społeczeńskim zależność wzajemna.

Daléj idąc a wybierając z nasuwających się wniosków te które najwięcéj chwilę obecną zajmują, zastanówmy się jak budując wszystko na zasadzie pełnéj miłości, my katolicy pojmujemy postęp, wolność i oświatę.

Od przyjścia Chrystusa uznajemy tak w rozwinięciu czasowém człowieka pojedynczego jak i w rozwinięciu społeczeństwa postęp nie konieczną ścisłością formuły matematycznéj nacechowany, bo postęp jako formuła matematyczna niedosyć szanuje osobistość ludzką, ale ciągły i tylko w granicach natury upadkiem z wyboru wolnéj woli skażonéj, w granicach ludzkiéj możebności zamknięty. Wolna wola człowieka z jednéj, możebność owa z drugiéj strony, wpisują życie indywiduów i narodów jakoby w jedno koło odtwarzające się do nieskończoności, owe koło błędne o którém mówi Vico; tylko że wedle pięknego wyrażenia Goethego, koło to niezwraca się w ślad przebieżonego kręgu, ale jest ogniwem spiralu zakręcającego się coraz wyżéj. W tym zakresie postęp pojedynczego człowieka, choć bez koniecznéj i każdochwilowéj zależności jest w związku z rozwijaniem się idei ogól-

néj żyjącéj w spółeczeństwie. Rzecz oczywista że postęp rozwija się jedynie na drodze powołania i obowiązków, zaś tylko religia chrześciańska ucząc o powołaniu, w całéj pełności obowiązki względem siebie i względem innych wykonywać nakazuje, ona tylko daje płodność usilowaniom wydzierającéj się ku lepszemu niespokojności ludzkiéj. Wprawdzie nie grzeje nas nadzieja że w bliskiéj przyszłości sprawiedliwość na świecie zawładnie, ale wierzymy że Bóg łaską Swoją wskazuje ciągle kierunek ku lepszemu, zaś człowiek nietylko ma wolę nieskrępowaną, on posiada i pamięć przeszłości. Chrześcianizm podniósł już i wyzwolił człowieka pojedynczego, spodziewamy się że wejdzie teraz w życie i stosunki narodów, wywięzując się daléj ze swego posłannictwa, które się wtedy wypełni kiedy będzie jedna owczarnia i jeden pasterz.

Są tacy którzy wszelką wagę chrześciaństwu w przeszłości przyznają, ale znajdują że dziś już nieodpowiada wymaganiom postępującéj ludzkości i albo nowego objawienia albo nowéj syntezy ludzkiéj się spodziewają; inni jeszcze zgadzając się na naukę Chrystusa w teraźniejszości przewidują chwilę w któréj się ona niedostateczną okaże. Jednych i drugich pytamy jakie wielkie uczucie, jakie wysokie pojęcie weszło albo świta w sumieniu ludzkości, któregoby zaród nieleżał w chrześciaństwie? Pytamy czy już wyczerpnięto przepisy Ewangelii, czy ludzkość jest tak cnotliwa, tak poświęceniem żyjąca że jéj trzeba coś innego jak cnotę i poświęcenie zalecać? Niech nam z całą prostotą odpowiedzą. Nie jeden szczery człowiek słysząc głośno zapowiadany postęp dalszy jak nauka chrześciańska, trapiony bywa wątpliwościami i pociągany wyobrażeniem o przyszłości nieznanéj, żadnemi nieobjętéj granicami; takiego niech uspokoi myśl że nigdy być prawdą nieprzestaną cnota, piękność, miłość i poświęcenie, co wszystko w chrześciaństwie żyje najobszerniejszém życiem.

Kto wyrzuca katolicyzmowi oporną martwość, ten niepojmuje czém jest nauka Chrystusa i rzeczywistości zaprzecza. Tam gdzie każde słowo ksiąg świętych, każdy obrzęd przypomina wielkość obowiązków, do czynów koniecznego zakładu wiary (*wiara bez czynów martwa jest* mówi pismo), do ruchu umysłowego popycha, odrętwiałość jako nieuchronne następstwo jest niepodobna. Kościół głosem papieży, przez sobory, przez pisma doktorów swoich, przez zakony i bractwa mające nędzom moralnym i materialnym zaradzać bezprzestannie rozwija z siebie życie ewangelii; a jeśli czasem w sprawach tego świata zmyli się papież który, albo Pan Bóg jak gdyby dla przypomnienia wiernym że i namiestnik Chrystusa jest człowiek zezwoli na wyniesienie jakiego Alexandra VI., to życie dla tego w kościele nieustaje i katolicyzm naprzód idzie; za Alexandra VI. żyli Ś. Franciszek a Paulo i Savonarola. — Spokojność wewnętrzna ludzi wysokiéj świętości nie jest odrętwiałością, niewyklucza ona czynności powszedniéj, owszem zawsze z pełnością życia w parze idzie; niema znowu błędniejszego wyobrażenia jak że życie zakonne, wszelakie życie ascetyczne, do duchowego sobkowstwa do obojętności prowadzi. Nie tu miejsce wyświecić wagę i potrzebę zakonów, tych latarni morskich zapalonych wśród mgły interesów światowych, tych śpichrzów dzisiejszego osierociałego pauperyzmu, przedmiot ten rychło a obszernie będziemy się starali rozebrać. Teraz żeby z zarzutem odrętwiałości skończyć przypomnimy jeszcze że w krajach katolickich w których wedle oskarżeń zdawałoby się że religia i na niéj oparte wychowanie powinny do skamieniałości prowadzić, właśnie było zawsze i jest najwięcéj dobrych i złych ruchów.

Ile razy w pojedyńczych ludziach mieniących się katolikami zmartwiałość znajdujemy, to dowodzi że są natury tak samolubstwem skażone, że religia służy im tylko ku uspokojeniu obaw słabego umysłu, niby za śrubkę w staranmie urządzonéj machinie. W zepsu-

tych znowu spółeczeństwach nieraz religii używają za środek i tém jéj żywotność odbierają. Zdarzają się i między nami ludzie, którzy religią niewierząc w nią za sposób uważają, katolicyzm mówią potrzebny jest dla ludu. Tacy zwykle się mienią wyłącznemi przyjaciołmi ludu, ale siebie tylko w nim kochają bo niema miłości bez szczerości; popełniają prawdziwe świętokradztwo, w dumie z nabytków myśli własnéj, z nauki w którą snać nieufają kiedy się jéj sile powierzyć niechcą, pierwsi znoszą równość jaką w obliczu słowa Bożego Chrystus między ludźmi postanowił; sieją w nieszczerości gorzkie téż tylko owoce zbierać mogą. Religia do wartości środka zniżona przestaje być religią.

Mówiliśmy już że z katolicyzmu wypływają wszelkie obowiązki względem drugich a naprzód względem kraju swojego, wszakże z tego nieidzie konieczność przywiązania się do jakiéjkolwiekbądź formy politycznéj. Konieczności czasowych kształtów spółecznych na bezwzględnéj opartych nauce nierozumiemy wcale i zarówno odpychamy samowolne wnioski Fryderyka Szlegla i de Maistra jak samowolne wnioski Bucheza. Jeśli niejeden szczery katolik czy udziałem w bieżących wypadkach pociągnięty czy złamany próbami i zapasami, stawia jaki kształt polityczny jako proste następstwo swojéj wiary, w tém wina jego słabości ale nie wina katolicyzmu. Wprawdzie zdawaćby się mogło, że w czasie danym wyobrażenia jedne więcéj jak drugie odpowiadają zasadom wiekuistym, ale że przy pociągach własnego interesu, zawodny bywa w téj mierze wypadek zastanowienia ludzkiego, kwestya przekonań politycznych do wyboru sumienia jest zostawiona, tém bardziéj, że nauka Chrystusa pod jakikolwiek bądź kształt polityczny podstawiona każdy udoskonalili i uświęci. Rzecz się ma zupełnie inaczéj kiedy odmienimy punkt zapatrywania się i ze stanowiska zasad bezwzględnych do obowiązków życia zejdziemy: oczywiście że każdy chrześcianin w sprawy świata wmięszany powinien mieć zdanie sumienne o rzeczach, szcze-

rość zupełną zdania przyjętego i idącą z przeświadczenia o sumienności pobudek własnych odwagę cywilną.

Przejdźmy do zadań wolności i równości. Wolność tam się tylko znajduje gdzie się równoważą prawa i obowiązki, gdzie są przyznane bez przymusu zewnętrznego i odznaczone w wierze i miłości granice dla umysłu i dla czynności człowieka; stan spółeczeństwa bez wiary i obowiązków jest najcięższą niewolą; najtwardsze więzy wkładają duma i namiętności. O Apostołach wolności fałszywéj mówi ś. Piotr: „Albowiem nadętą próżność mówiąc przyłudzają przez pożądliwość ciała i rozpusty tych, którzy byli prawdziwie uciekli od obcujących w błędzie. Wolność im obiecując, a sami będąc niewolnikami skazy. Albowiem kto jest od kogo przezwyciężony, temu téż jest zniewolony.“ Chrześcianizm wyzwalając ducha darzy swobodą istotną.

W Katolicyzmie tylko jest równość możebna. Na niepodobieństwo bezwzględnéj równości każdy się zgodzi; w rzeczy saméj człowiek nie jest machiną działającą pod wpływem ciągle jednéj siły, ale istotą rozumną zależącą od okoliczności wśród których żyje i od wrażeń które odbiera; żyć znowu jest to ruszać się dla jakiegoś celu, ruchu bez celu równie niepojmujemy dla ożywionego ciała jak bezwzględnego spoczynku; za ruchem idzie zmiana a zatém nierówność; różnic w sile fizycznéj jak i w umysłowém usposobieniu nie możemy także za przypadkowość uważać. Starożytność tak dalece przypuszczała zasadę nierówności, że uznawała konieczność niewoli; dopiero miłość i pokora chrześciańska przyszły zagładzić różnice towarzyskie. Chrystus kazał możnym i mądrym to jest pierwszym żeby byli ostatniemi sługami wszystkich, najskąpiéj w życiu obdarzonych ostatnich powołał na czoło, ubłogosławił ubóstwo materyalne i moralne nauczył wreszcie że zazdrość i nienawiść nietylko nierówności nieznoszą ale szerszym przedział między ludźmi robią. Chrześcianizm dopiero przyniosł

ludziom prawdziwą równość religijną z któréj się wyrodziła równość cywilna. We wszelkiém wyzwoleniu z miłości początkował kościół katolicki. Do dziś dnia rzecz poddaństwa nie jest w całéj Polszce rozstrzygnięta, otóż jeszcze roku 1167 papież Alexander III. ogłosił, że nauka chrześciańska na poddaństwo niepozwala, a sam Voltaire przyznaje, że to postanowienie papiezkie skłoniło Ludwika X. Króla Francuzkiego do zniesienia poddaństwa w dobrach koronnych. Czyż sakramenta katolickie nie przypominają codziennie równości w obliczu Boga? Równość majątkowa jeżli jest podobna w pewnéj mierze, to tylko na drodze ofiary; we wspólność posiadania na stowarzyszeniu ludzi zbliżonych pociągiem uczuciowym (attraction passionelle) opartą w marzenia St. Simona i Fourriera, niewierzy żaden umysł praktyczny; zaś gdyby udało się kiedy tym co nic niemają odebrać majątki dzisiejszym ich posiadaczom, to tylko właściciele by się odmienili, a nie własność straciła swoje znaczenie.

Katolicyzm przynosi oświatę w najobszerniejszém znaczeniu wyraz ten biorąc; dowodów poszukamy w przeszłości europejskiéj. Kiedy świat rzymski rozpadał się zepsuciem, a barbarzyńcy potężni dzikością obyczajów, dzisiaj poetycznych dla nas w oddaleniu, jak wszystko co tchnie prawdziwą namiętnością, energią zarysów pociągającą w Sagach a Niebelungach i homerowską prostotą, w rzeczy zgubnych dla wyrabiających się idei w ludzkości stanęli na widowni; kto uratował postęp, kto przechował podania i naukę? Kto późniéj wyobrażenia posłuszeństwa dla Ewangelii, prawności i jedności państw w tworzące się społeczeństwa zaszczepił? Kto bezprzestannie pośredniczył naprzód między zdobywcami a podbitemi, późniéj między ciemiężcami i uciemiężonemi, zawsze działając na korzyść cierpiących i nieszczęśliwych? Kto jeśli nie papieże i kościół. W Polszce kościół pomógł wyrobieniu się narodowości, uratował jedność niknącą śród podziałów, a przez germańską działalność zagro-

żoną; dzisiaj czyż mniejszemi darzy nas dobrodziejstwami? Papieże, śmiało wypowiadamy przekonanie nasze, omylili się w XV. i XVI. wieku, omylili się zaś nie jako stróże tradycyi, tu omyłka jest niepodobna, ale w przybranym kierunku w rzeczy spraw ludzkich. Pod opieką Naczelników kościoła zbudowanego na gruzach pogańskiéj nauki, odżyły wyobrażenia greckie i rzymskie, ponętne wielkie wyobrażenia wspaniałą epokę dla nauki i sztuk głosem niezrównanych pisarzy i niezrównanych arcydzieł dłuta i cyrkla przypominające, wszakże niedomierzające wzniosłości zasad chrześciańskich. (*) Myśmy je z mlekiem wyssali, w wychowaniu naszém, w szkołach, więcéj i wyłączniéj zajmowaliśmy się pisarzami augustowskiéj epoki jak listami apostolskiemi, samą nawet Ewangelią że niewspomnimy Ojców kościoła, których szkólna nauka zupełnie przemilcza; wielkich postaci tylko Plutarch wyobraźni naszéj dostarczał. Któż nam kiedy mówił o bohaterach chrześciańskich? To téż przywiązanie nie tylko do niezaprzeczonéj wartości wzorów

(*) Niech nam wolno będzie dotknąć nawiasowo kwestii sztuki. — Sztuka jest dla nas wynalezieniem i wolném odbiciem znamion bezwzględnéj doskonałości i bezwzględnéj piękności, w skończoności, w naturze. Sztuka ma się opierać na niewzruszonéj podstawie zasad objawionych i w udziale dostała wysokie posłannictwo wpływania na zmysły tak żeby je pod panowanie ducha poddawać. Rzecz oczywista że z całą siłą potępiamy zmysłowość w sztuce. Względem przeszłości greckiéj nie jesteśmy uprzedzeni, uznajemy całą czystość natchnienia w artystach i pisarzach Hellady; tylko oni za wyłączny hołd piękności fizycznéj składali, kiedy przeciwnie Chrześcianizm jest ciągłem zwycięztwem nad materyą, zwycięztwem piękności moralnéj; my przeto choć nieodmawiamy uszanowania dla piękności kształtów w tworach rąk boskich, niższy jéj dajemy szczebel. Myśl naszą że od epoki odrodzenia skrzywiony został kierunek sztuki uzmysłowiło się natchnienie obszérnie późniéj wyłożymy. Teraz dodamy jeszcze, że sztuka niepowinna służyć za środek, bo natchnienie prawdziwie estetyczne samo z siebie niesie naukę wszystkiego co wzniosłe i piękne.

wszelkiego piśmiennictwa, ale do wygodnych maxym wykształconego samolubstwa rzymskiego nigdy zupełnéj nad nami władzy nietraci. Za cały ruch *Odrodzenia* jak go zwykle nazywają, przyszła kara w reformacyi i odmieniły się stosunki publiczne. Co pierwéj kościół opiekował się spółeczeństwem, był połączony z państwem jako takiem, to teraz państwo wyłącznie świeckiem zostało, oderwało się od kościoła. Rozdział ten bolesny dla wielu, tak gorąco opłakiwany przez X. Lamennais przed jego odszczepieństwem, my za rzecz dokonaną przyjmujemy. Żywotność kościoła nic na tém nie ucierpi, że się warunki jego światowego położenia zmieniły, daléj on będzie swego świętego posłannictwa dopełniał. Nauka bezwzględna do wszelkiéj się godziwéj obecności zastosować zdoła. My jéj wyznawcy przyjmujemy w całéj rozciągłości warunki jakie nam teraźniejszość wydziela, więcéj powiemy mimo złych pozorów widzimy wyraźną wyższość naszych czasów nąd ubiegłemi wiekami. Jeśli zatarły się wydatność, monolityczność charakterów i mniéj jest cnot zupełnych w swéj doskonałości, jeśli zmalały indywidua, za to chrześciaństwo przeszło w obyczaje i znajdujemy więcéj rozlanych w powszechności wyobrażeń solidarności, uszanowania jednych dla praw drugich, dobroczynności ogólnéj. Nauka Chrystusa nieprzestaje wzbudzać wielkich poświęceń. W téj chwili naślednicy apostołów i missionarzy dawnych, missionarzy, którzy wydeptali wszędzie ścieszki dla wpływu oświaty europejskiéj, podwajają usiłowań; ubodzy opowiadacze ewangelii wyprzedzają statki parowe nawet naukę geografii wyprzedzają i znacząc ślady cichemi męczeństwami zdobycze dla Europy w najodleglejszych stronach świata robią. Przyszłości chrześciaństwa ufamy, niestraszy nas niechęć, niepowodzenia niezrażają; Pan Bóg w jednéj chwili złe w dobre zamienia. W przeświadczeniu znowu o opatrznym kierunku czerpiemy obojętność dla środków zręczności światowéj, tylko brak wiary i niedostatek moralnéj pod-

niosłości je podaje. Kto wierzy w jaką prawdę wierzy koniecznie w jéj ostateczne zwycięztwo. Ale, powtarzamy, z ufnością w Bogu niepowinna się łączyć nieczynność; pracujmy całe życie, pracujmy bez ustanku, używajmy tylko środków dobrych, wtedy choć się nam nie wszystko powiedzie, choć bolesnych doznamy zawodów, będziemy mogli zasmucić się, niezniechęcimy się nigdy. Nadeszła epoka przejścia, podwaliny społeczeństwa europejskiego zatrzęsły się do gruntu, nieprzewidziane wypadki pojawiają się na świecie, niepewność przejęła umysły, oczekiwanie ciąży wszystkim na piersi, nauka straciła wiarę w siebie, natchnienie wszelkie w pół drogi zamiera. Kto zdoła wywróżyć co nam przyniesie przyszłość, kto odgadnie myśli jakiemi Pan Bóg tchnąć będzie w ludzkość? Nas wiara spokojnymi czyni; wiemy że jak Chrystus uratował świat rzymski rozpadający się zepsuciem, tak objawienie chrześciańskie ochroni i zbawi oświatę europejską, którą napada niemoc zgrzybiałości. Ciężkie przetrwał próby chrześcianizm ale nie upadł pod niemi i jak wszystko co święte w czystszym z nich wyszedł blasku. Darmo mu herezye i filozofie śmierć zapowiadały, darmo go chciały obedrzeć z cywilizacyjnego posłannictwa; w nowszych czasach encyklopedyści ledwie nauce objawionéj zostawiali kilkadziesiąta lat życia; płonne groźby, dziś encyklopedya zestarzała się i minęła, mało gdzie słychać słabniejące głosy zapóźnionych jéj stronników, a słowa Chrystusa wiecznie wiosenną zielenią się młodością. Powrót do religii jest widoczny, same spory religijne rozbudzonego życia dowodzą. My Polacy którzy tak często za popędem obcych idziemy, wyobrażenia gdzie indziéj zużyte tak długo zwykle przerabiamy, czyż znowu będziemy czekali aż porwie nas ruch ogólny, czyż własném uczuciem z własnego popędu niestaniemy przy nauce ojców naszych, nauce ściśle połączonéj z przeszłością i przyszłością narodu, tarczy jego w teraźniejszości, nauce wreszcie która wsiąkła w krew ludu tak

że tylko na niéj się opierając zdołamy w dopełnieniu obowiązku wyraźnego naszych czasów, podnieść klassę najniższą do moralnéj godności człowieka.

Jeśli o cywilizacyą materyalną chodzi, chętnie przystaniemy że myśl o wieczności, pewne oderwanie się od rzeczy tego świata, odejmują prawdziwemu chrześcianinowi tę gorączkową żarliwość ku nabyciu bogactw, która najczęściéj wynalazki płodzi. Zamiast cobyśmy w tem złe upatrywali, cieszymy się że nauka objawiona zmaterializowaniu się człowieka przeszkadza. Z drugiéj strony religia nakazuje człowiekowi pracę, pracę ciągłą, pracę w pocie czoła, przy pracy zaś powolniéj może ale do wszelakich godziwych wypadków nauki materyalnéj się dochodzi. Dziś dojrzewają owoce kierunku przeszłowiecznego i mamy drogi żelazne, statki parowe, niesłychane rozwinięcia handlu i przemysłu; rzeczy te wzięte same w sobie powołaniu człowieka na świecie nieodpowiadają, wszakże nieodpychamy ich wcale, owszem w tém namnożeniu środków ku zbliżeniu narodów i ludzi przeczuwamy zbliżającą się chwilę powszechniejszego uznania prawdy objawionéj. Silnie nas uderzyła i przekonanie nasze pociągnęła myśl że Rzym wyobraziciel wszelkiego materyalizmu w historyi, dla tego nagiął swojém żelaznem ramieniem ludy starego świata do jedności żeby Chrystusowi ziemskie drogi przygotować.

Stowarzyszenia zwykle na niechrześciańskiéj zasadzie jak największego osobistego zysku, na koalicyi wielkich kapitałów przeciw małym oparte, przewodniczą dzisiaj w przemysłowych i handlowych robotach; czyż nie wznioślejsze powołanie, nie trwalsze i nie kolossalniejsze były skutki wszelkich bractw w wiekach średnich? Czyż nie czas żeby ekonomia polityczna na szerokiéj zasadzie dobra ogólnego się oparła?

Zdarza się jeszcze niekiedy słyszeć zarzut obskurantyzmu nie szczególnym katolikom ale wszystkim katolikom robiony. A przecież katolicyzm wydał niezmierną liczbę wielkich jeniuszów i ukanonizował

swoich doktorów, zaś jest to wyraźne prawo psychologiczne że kto szuka światła i ma światło ten je chce z innemi podzielić. Szaleniec chyba myśli że istotę nieśmiertelną jest podobna woli i rozumu pozbawić i w użyteczność usiłowań w tę stronę skierowanych wierzyć może. Próżna robota chcieć ujarzmić umysł ludzki; nie przymus i ciemnota ale wolna i oświecona wola może w całéj pełności prawdę bezwzględną uznać. My chcemy, wzywamy najszerszéj oświaty, dla każdéj poważnéj nauki czujemy jak największą względność, ospałości umysłowéj przedewszystkiem się boimy. Z resztą podzielamy zupełnie zdanie kanclerza Bakona który mówi: „niedostateczna tylko nauka odwodzi od Boga, pełna do Niego prowadzi.“

Zarzut znowu że religia katolicka tylko grubą i powierzchowną obudza pobożność nie jest na żadnéj zasadzie poważnéj oparty. Kościół zawsze się starał i starać się nieprzestaje o rozszerzenie religii oświeconéj, religii istotnéj. Jakieś nieokreślone uczucie bałwochwalcze nieodpowiada wymaganiom nauki, która powinna stworzyć nowego człowieka w człowieku. „Co „innego jest, mówi de Maistre, wpływ religii na człowieka, a co innego przywiązanie człowieka do religii. Nie jeden co kradnie całe życie i ani mu przyjdzie na myśl że kradzież zwrócić należy, albo co „ugrzązł w sromotnéj rozwiązłości, niezaniedbuje dla „tego pilności w nabożeństwie, często gotów z narażeniem zycia bronić obrazku świętego, gotów umrzeć „raczéj jak tknąć się mięsa w dzień zakazany. Prawdziwa władza religii zmienia i podnosi człowieka. „(*Lex Domini immaculata convertens animas*. Ps.XVIII. 8.) „robiąc go zdolnym wyższego stopnia cnoty, oświaty „i nauki.“

Miłością oddycha każdy wyraz nauki Chrystusa, pierwszym w niéj rozkazem *kochaj bliźniego jak siebie samego*. Miłość tylko tworzy, tylko w miłości jest wolność. Jak bez miłości rozstrzygać zadania społeczeńskie które co chwila tamują pochód ludzkości?

Jeśli w téj mierze gwałtowności i nienawiści za środek użyjemy, zdołamy węzły gordyjskie poprzecinać, ale niezdołamy trwałych nowemu porządkowi postawić zrębów. W téj chwili toczy się w całéj Europie głucha jeszcze walka między temi co posiadają i używają a temi co cierpią, między ciągnącemi zysk z pracy a pracującemi, między fabrykantami a robotnikami, ekonomiści silą się na wynalezienie jakiejś równowagi a silą się napróżno. Rzecz oczywista, że pracę należy inaczéj uorganizować, dotkniemy téj kwestyi po kolei, ale tylko miłość chrześciańska, miłość nakazująca zrzeczenie się wyłącznych osobistych widoków jednym, drugim wyrozumiałość, do trwałego do zbawiennego rozwiązania trudności poprowadzić może.

Człowiek cierpieniem wypróbowany, wolny w duchu, niezmordowany w pełnieniu obowiązków, a miłością uświęcający każde dzieło myśli i rąk swoich, jest dopiero człowiekiem wedle nauki zbawiciela. Porównajmy niechrześcianina najpotężniejszego namiętnością, dumą lub nienawiścią, jakiego reformatora politycznego z każdym missyonarzem katolickim. Pierwszy na raz tylko zbierze całą siłę moralną, przygotuje cios i uderzy a jeśli nie zwycięży upada, nawet wygrana go zużywa i zdaje się dla dziejopisarza że czoło jego naznaczone jest znamieniem fatalności starożytnéj; Danton młody jeszcze i niedługiemi doświadczony zapasami zwątpił o wszystkiém i wołał: „Ludzkość mnie nudzi.“ Każdy missyonarz, każdy kapłan katolicki, każdy katolik prawdziwy całe życie dla prawdy pracuje; niezłamany przeciwnościami, schylając zawsze czoło pod dopuszczeniem bożem, niekoniecznie powodzenia oczekuje, obowiązku tylko patrzy. Starość nawet niewyziębia w nim poświęcenia i ufności w dobrą sprawę, zawsze on młody młodością swojéj nauki. Tylko niektóre niższe organiczne istoty mają za całe przeznaczenie jedną jakąś funkcyą wypełnić i umrzeć; człowiekowi zapowiedział Pan Bóg długie próby i zadanie jego nieśmiertelności zależnem od prób tych uczynił.

Na świecie póki młodość szlachetnemi darzy natchnieniami, wszyscy prawie piękności i prawdzie służą, ale nadchodzi czas zawodów, epoka w której się odzywają samolubne instynkta, jak niewielu wtedy temu co piękne i prawdziwe, co poświęceń wymaga wiernemi pozostaje? Znaczniejsza liczba poddaje się instynktom sobkowstwa, ciasne i nędzne skłonności zwąc wytrawnością i doświadczeniem. Cóż uratuje człowieka na którego wiecznie wszystkie brzydoty natury skażonéj czyhają, co mu da siłę wzgardzenia materialnym bytem, co darząc go prawdziwą dojrzałością świeżość uczuć i święte natchnienie w nim przechowa, co jeśli nie miłość Chrześciańska, którą każdy obrzęd odżywia, każde słowo Chrystusa sercu przypomina?

Katolicyzm jako wolność i jako miłość wyłącza wszelką nietolerancyą. Nietolerancya pochodzi albo ze szczerego przekonania że dla przeprowadzenia myśli jakiejś wolno jest używać środków wszelkich choćby najgwałtowniejszych, tak jak ich użyła Inkwizycya hiszpańska i Terroryzm francuzki, albo z dzikości obyczajów jak w wojnach Albigensów i w wojnach chłopów w Niemczech; albo wreszcie ze skieptycyzmu politycznego, z Hobbesowskiéj pogardy dla ludzi jak w rzezi śgo. Bartłomieja i w dziełach odszczepieństwa Bizantyńskiego. W każdym razie jest ona owocem nieoświecenia, albo niecierpliwości i dumy, jest owocem nienawiści. Silna a oświecona wiara jest spokojną; walczy ze złem, nigdy się przed niem nieugina ale nigdy i nigdzie niezapomina przepisu miłości bliźniego, środków innych jak środki godziwe nieużywa. Nie możemy dosyć powtarzać że kto ufa prawdzie ten jest o jéj wieczności o jéj ostatecznem zwycięztwie przekonany, a jeśli dla tryumfu swoich przeświadczeń pracuje, to przez uczucie powinności a nie w nadziei pożytkowania ze swojéj pracy. Człowiekowi prawdy niechodzi żeby przymusil ale żeby przekonał. Jesteśmy więc za jak najszerszą tolerancyą, i z chluba przypo-

minamy że już konstytucia 3go Maja tolerancyą z miłości bliźniego wyprowadziła.

Nie jeden zadziwi się nad naszem oznaczeniem posłannictwa i zasług katolicyzmu, bo grube w téj mierze panują przesądy, bo od trzech wieków piszący historyą pokrzywdzili go i spotwarzali, a tak głośno tak upornie szerzono uprzedzenia że wszelka obrona przez długie czasy zagłuszona została. Wszakże przychodzi sprawiedliwość na drodze koniecznego oddziałania, oddziałanie wstrzyma się, my tylko dołóżmy usiłowań żeby prawdę uchwycić Powiedział znakomity pisarz francuzki że historya od reformacyi jest ciągłym spiskiem przeciw prawdzie; my za jeden z głównych przyjmujemy obowiązków starać się wyświecać przeszłość katolicyzmu w całym świecie a szczególniéj w Polsce tak, ażeby ludziom sumiennym dostatecznych powodów do przekonania dostarczyć.

Najwyraźniejszym znakiem upadku prawdziwéj historyi jest ta niechęć dzisiejszych pisarzy do historyi właściwéj; dziś ludzie najwznioślejsi myślą biorą się opracowywać pojedyncze epoki, dzieje pojedynczych ludzi, mnożą się monografie. Snać zrobił się niemały zamęt w nauce kiedy znowu trzeba się cofnąć do źródeł, snać runęła wszelka całość kiedy tylko można częściowym pracom podołać. Nauka czasu ubiegłego może w części i dzisiejsza jeszcze nauka historyczna, ciężkie na sobie nosi przewinienia, nie powodowało nią uczucie słuszności, chęć służenia prawdzie dla prawdy, ale zajęcie się celami bieżącemi, z tąd weszło skupianie porządkowanie faktów stosownie do naprzód przyjętego systematu: dzieje świata zostały obdarte z najpierwszéj ozdoby ze wszelki dobréj wiary: historyą także zniżono do wartości środka. Dla nas jak oczywista historya nie jest całą nieśmiertelnością, ale ją za główną podstawę wszelkiéj dojrzalszéj pracy uważamy.

Wszyscy już teraz zgadzają się że dziejopisowie przeszłego wieku czy z niemieckiéj czy z francuzkiéj

czy z angielskiéj szkoły, rozmyślnéj dopuścili się względem Chrześciaństwa niesprawiedliwości; jeżliż w wielkiéj części fałsz mówili, czy pisma ich zasługują na jakiekolwiekbądź zaufanie? A jednak często ludzie przyznający sobie miano oświeconych na ślepo dawne zarzuty powtarzają, dają się uwodzić dawnym przesądem. Daleko od nas myśl tłómaczenia wszystkiego w przeszłości katolicyzmu; nieraz błędy ludzkie zaciemniły czystość nauki świętéj, nieraz wielkie zboczenia i zbrodnie skryć się pod jéj zasłoną próbowały; nie widzimy potrzeby jednych i drugich zakrywać albo wysilać się na subtelności. Sami papieże dali nam przykład surowéj otwartości i niema silniejszego oskarzenia na złych w XV wieku Sgo. Piotra następców jak to które Adrian VI w bulli przy podniesieniu siebie na stolicę apostolską sformułował. Gdzie jest towarzystwo świeckie, któregoby naczelnicy i członkowie niewahali się ułomności i zgorszeń wewnętrznych odsłaniać? My przekonani jesteśmy że namiętności i słabości ludzkie prawdziwości dogmatu naruszyć niemogą; historya znowu przynosi nam zapewnienie że najwięcéj dobrodziejstw w ludzkości, najwięcéj i najzupełniejszych cnót w ludziach pojedyńczych z nauki objawionéj za pośrednictwem kościoła katolickiego przyszło. Bossuet mówi: „ Cóż może być wspanialszego nad „widok religii tak silnie na jednych podstawach od „początku świata opartéj, że jéj ani bałwochwalstwo „ani bezbożność niegdyś wkoło zewsząd rozkrzewione, „ani prześladowcze tyrany, ani heretycy i niewierni, „którzy ją zepsuć usiłowali, ani tchórze i słabi, którzy „ją zdradzili, ani niegodni wyznawcy, którzy zbezcze„ścili zbrodniami, samaż długość czasów wystarczająca „zawsze na obalenie rzeczy ziemskich niezdołały już „niepowiem zgasić ale choćby tylko odmienić. “

Wypowiedzieliśmy o ile było podobna treść przekonań naszych, spodziewamy się krytyki i zaprzeczeń, nieobawiając się ich wcale, nie żebyśmy wysoko na-

sze zdolności cenili, ale że wierzymy gorąco w prawdę nauki, któréj służymy. Katolikom niezgadzającym się z nami w zdaniach oświadczamy, że żadna niecierpliwość krokami naszemi niekieruje i że niema tak silnego pociągu, któryby nas we współzawodnictwo ze szkołami niechrześciańskiemi wplątać zdołał; wiemy że tylko pokora ducha, pogoda wewnętrzna i zaufanie w Bogu mogą nas do jasnego odwiecznych prawd pojęcia doprowadzić i słowom naszym dać płodność i powagę, widzimy z drugiéj strony jak przy ciągle drażnionéj działalności ludzkiéj pospiech, brak wiary w przyszłość, wzgląd na chwilowe okoliczności, moc żywotną najświetniejszym usiłowaniom odbierają, jak wysilenie żeby prawodawczą oblec togę, naukę dzisiejszą pozbawia wagi prawdziwéj. W Bogu nadzieje nasze składając, gorączkowéj się niepoddamy gorliwości: z resztą oczy nasze w każdéj chwili zwrócone są na kościół, jemu w rzeczy dogmatu przyznajemy zupełną władzę ostrzegania i nagany. Oprócz tego nam o prawodawstwo niechodzi, prawodawstwo mamy doskonałe; nieprzychodzimy nauczać, to do kapłanów należy, nasz zawód jest świecki. Jeśli zdołamy obudzić miłość i ufność do obecności, większe zajęcie dla najważniejszych na świecie zadań, surowsze przekonanie o obowiązkach, sumienniejszą pracowitość i porządniejszy specyalny wszelkiéj pracy kierunek, w młodém pokoleniu, od którego tyle się spodziewamy i tyle wymagamy, powiemy żeśmy cel nasz osiągnęli.

Raz jeszcze powtarzamy że Przegląd Poznański nie będzie i być nie może od początku organem ściśle odznaczonéj opinii religijnéj, współprawnicy nasi, którzy się w odmiennych miejscach i w kierunkach odmiennych ukształcili, przynoszą różność w zdaniach i różność w metodzie. Dziś podajemy punkt środkowy dla usiłowań do jednego dążących celu, z czasem, jeśli Bóg pobłogosławi, jedność się myśli na tém polu wyrobi. Na co od razu wszyscy się zgadzamy to na to, że nauka nasza

jest przedewszystkiem nauką żywą i budzić w ludziach wiarę w cnotę, piękność i poświęcenie powinna. (1)

Pismo nasze będzie nosiło kolor literacki, krytyce wiele miejsca poświęcimy, tylko nie krytyce niespokojnéj, zaczepnéj, nienawistnéj, ujemnéj jakby się wielu wyraziło, ale poważnéj i uczciwéj, któréj jak to widzimy w pismach angielskich dzieła brane pod zastanowienie podają sposobność rozbierania obszernie przedmiotu zwykle mającego wielką czasową żywotność. Kwestyi rzeczy miejscowych będziemy dotykać w miarę ich ważności i względu na pożytek a możebność. Każdą pracę naukową choćby przytrudną dla ogółu czytających, pracę z działu umiejętności ścisłych lub filologii chętnie przyjmiemy.

Przeciwnicy przekonań naszych choćby najzaciętsi cieszyć się powinni, że im pole do próby otwieramy; niech nas tylko wszyscy bez wprzód powziętych uprzedzeń słuchać zechcą. Z naszéj strony ufamy, że w czytającéj polskiéj powszechności jest już tak wysoki stopień wykształcenia, że jéj poważnie z wyobrażeń swoich zdawać sprawę i poważnego się od niéj spodziewać rozbioru można.

Stawamy przed ziomkami uzbrojeni w szczére chęci, w wytrwałość i cierpliwość, spodziewamy, się że nam sprawiedliwością w sądach otuchy dodadzą.

---

(1) Ciaśniejszy może obręb ale jedno z nami zadanie ma *Pielgrzym*. Sądzimy że mu Przegląd Poznański nie stanie na zawadzie, zaś chętnie przy sposobności oświadczamy szacunek dla szczerych usiłowań jego wydawców.

Wyjątki z poematu Stefan Czarniecki

(*Obraz oblężonego Krakowa*)

Dowódź, dowódź Karólu twym rozbójczym szykom,
Poklaskuj ich bluźnierstwom i wściekłym okrzykom.
Kto ufa w Bogu tego niezdradzi odwaga!
Kraków nie drzy przed tobą litości niebłaga,
Stoi jak przed Attylą Piotrowa stolica,
Jak na śmierć Chrześciańska skazana dziewica,
Z odwagą niewinności i pogodą twarzy
Patrzy na mąk narzędzia i topór ceklarzy,
Kapłan jéj wsparciem, kapłan świadkiem jéj sumienia
Wiara pociechą, niebo nadzieją zbawienia.
    Gdy brzmią w około twierdzy uciechy i pienie
    Noc zapada i czarne rzuca na świat cienie;
    Przygasły światła w mieście, na wałach ogniska;
    Jeśli u sklepień świątyń blady płomień błyska,
    Ledwie na różnofarbne okna się wymyka,
    Mignie tylko mdłym błyskiem i w pomroku znika.
Wszędzie ciche milczenie, wszędzie pomrok głuchy,
W cichości stoją straże i czujne podsłuchy.
Zegar tylko na wieży lub dźwięk smutny dzwonu
Bije długą godzinę grożącego zgonu.
Na ten dzwięk lud z modłami przed ołtarze bieży,
Sam król na zimnych głazach krzyżem u nich leży,
Jęki organu żale powtarzają smutne,
Łączą się z niemi modły i pieśni pokutne.
Wspierają się koleją, rycerze mieszkańce,
Z szańców spieszą do świątyń a z świątyń na szańce.

Na trybunałach skruchy dłoń kapłana święta
Z kornych sumień zdejmuje win i grzechów pęta;
Inni wpośród bezkrwawéj ołtarza ofiary
Poświęcają oręże tarcze i sztandary.
Z świętą księgą Chrystusa nowy Skarga wchodzi
I do ludu z Piotrowéj tak przemawia łodzi.
„Jeźli oblężonego miasta Pan niestrzeże
„Próżno go bronią wały, zastępy i wieże.
„Ach przyszedł, przyszedł dla was już dzień ostateczny,
„Na strasznym trybunale zasiadł Pan przedwieczny,
„Dłonie uzbroił w gromy a w pomstę oblicze.
„Biada ci biada stokroć o plemie zbrodnicze!
„Niema dla cię litości niema przebaczenia,
„Zginiesz aż do zagłady twojego imienia.“
Ten głos jak grom piorunu trwogę w sercach wzrusza;
Płacz, jęk upadłych na twarz, kapłana zagłusza:
Sam przelękły tryumfem, własne tłumiąc łkania,
Na pierś twarz spuszcza, oczy rękami zasłania,
Potem wzniósłszy ku niebu i dłonie i oczy,
Jak wieszcz natchniony z nieba kończy głos proroczy.
Samem przed chwilą groźby czytał wam z téj księgi,
Lecz gdy was z Bogiem nowe złączyły przysięgi,
Gdy ty królu niegodnie z państw twoich wyzuty,
W prochu twarz zanurzając, łzy lejesz pokuty.
Gdy was rycerze korna już obmyła skrucha,
Jest, jest dla was w téj księdze zbawienia otucha.
Pan przebłagany, wstrzyma pychę w jéj zapędzie,
Sam wpośród was na wałach przechadzać się będzie;
Jedném skinieniem palca swéj wszechmocnéj ręki
Wyrwie lwu rozjadłemu dziewicę z paszczęki.
My z wami idziem na grzmot ryczącego spiżu,
Wystawim tego Boga, co skonał na krzyżu.
Odbijem od was ciosy tą niezłomną tarczą.
Niechaj działa zaryczą, pociski zawarczą.
Niech najezdnicy tysiąc gromów na was rzucą,
Gromy, pociski ku ich głowom się odwrócą.
Idźcie, walczcie z ufnością mężni oblężeńce
Śmierć żądana, gdy w niebie wiją za nią wieńce.

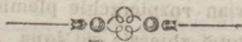
Zaledwie święty kapłan te słowa wyrzecze
Błysnęły na powietrzu podniesione miecze,
Zabrzmiało po świątyni godło Ojców stare
Legniem wszyscy za Króla, Ojczyznę i Wiarę.

Początek Pieśni 7mej

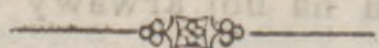
Jedyny wizerunku na poziomym świecie,
Nakreślił cię Apostół święty w Nazarecie;
A rys, który dłoń prosta na Cyprys ujęła,
Mistrze ziemscy! waszego pędzła gasi dzieła.
Słynni światową sztuką, do niebieskich tworów
W twarzach ułomnych istot szukaliście wzorów,
On widział, on w nadziemskie wpatrywał się lice,
Nim wydał w matce Boga bez skazy dziewicę.
Jakże różna tych tworów i cena i wziętość
Że mają urok ziemski, tamten Nieba świętość.
O drogi upominku! o skarbie bez ceny!
Objawiła cię światu pobożność Heleny.
Ona Tobie wraz z krzyżem Przedwiecznego Syna
Pierwszą wzniosła świątynię w grodzie Konstantyna,
Ni zawzięty na jego Apostata tronie,
Ani Obrazoborców świętokradzkie dłonie
Nie zdołały cię wydrzeć czci królów i ludów,
I to jest w Tobie pierwsze znamie daru cudów.
Z gniazda kacerstw, bluźniących Chrystusowéj wierze,
Wielki Karól cię uniósł w Ireny ofierze.
Leon Słowiański, z grona pobożnych Hetmanów
Wybłagał cię u niego ku czci Roxolanów —
Aż po wieki Kaźmierza Belz jaśniał twą chwałą,
Lecz gdy dziki Tatarzyn obelżył cię strzałą,
Władysław Piast, Ludwika władzca namiestniczy
Unosił cię do Szląska przed wściekłością dziczy.
Już miał przebydź graniczne Jasnéj Góry szczyty
Gdy w tem stanął twój rydwan jakby w ziemię wbity?
Klękły rumaki, jak w dzień Boga Narodzenia,

Uklękły czworonożne przed Niebem stworzenia.
Pojął Piast, że ta, któréj nosisz wyraz twarzy,
Tu w Polszcze miejsce dla swych wskazała ołtarzy.
Bo u téj Jasnéj Góry z granitu podstawy
Rozłożył się pobożny lud z imieniem Sławy.
Tu od chwili, jak święty Chrzest obmył mu czoła,
Wielbił ją pierwszym hymnem Słowian Apostoła.
Jéj imię na chorągwiach i na piersiach nosił
I królową ją swoją w obec świata głosił.
Powstał więc Loret polski, a Sarmatów plemię
Widzi Przysionek z Niebem łączący ich ziemię —
Odtąd rodziny Sławian rozpierzchłe plemiona,
U wspólnéj Matki tutaj zbierają się łona,
Od Wisły, od Dunaju, Odry pobratymce
Tutaj się spotykają w pobożnéj Pielgrzymce.
Tu królowa dziewica pierwsze niosła dary
Dziewicy pani niebios składała ofiary. —
Tu berłu Władysława wzywała opieki
I zjednała téj ziemi Jagielońskie wieki. —
Władysławy — Zygmunty — Stefany — Kaźmierze
I waleczne Hetmany i mężne Rycerze,
Gdy ich trąba wojenna na bój krwawy wiodła,
Tu składali swe modły, po nich zwycięstw godła.
I tu ostatni z Wazów płakał na swe losy,
Tym przysionkiem głos jego wzbił się pod niebiosy
I przybyłaś mu w pomoc Najświętsza Dziewico.
Nie ziemska to już walka, pod czci twéj stolicą.
Większy! większy przedemną zawód się otwiera:
Widzę w dłoni kapłana — oręż bohatera;
Błysnął twojém imieniem nad najezdzców głowy,
A już jak pod Solimą Senacheryb nowy,
Dziś świętemi łupami w ślepocie się łudzi
I zasypia zdobywcą a zbiegiem się budzi.
Takeś poczęła dzieło — świata odkupienia.
Przez ciebie błysnął Polszcze pierwszy dzień zbawienia.
Żądło węża powtórnieś świętą stopą starła,
I poczwarom piekielnym tę ziemię wydarła.

Gdy powiała Chorągiew na twych świątyń szczycie,
Śmierć uszła w piekło — jedność powróciła życie.
Tyle cudów pod twoją dokonanych tarczą
Czyż godnie sławić piersi śmiertelne wystarczą.
Panno Najświętsza! wzywam jeszcze twego cudu,
Natchnij pierś wieszcza ogniem, wiarą serca ludu,
Niech słucha i naukę z wzoru przodków zbiera,
Męstwo wtedy wybawia, gdy je wiara wspiera.



Młoda Anglia - Coningsby.



Czém się to dzieje że w téj wielkiéj, mądréj, i potężnéj Anglii, jest przecie tak ckliwo, ponuro i boleśnie? Zkąd te walki i te przeciwieństwa: przepych obok największéj nędzy, najczarniejsze zbrodnie i razem najsurowsza moralność, pomimo równości cywilnéj, a prawie i politycznéj rzędy ostrokołów między najdrobniejszemi towarzystwa oddziałami, przy najwyższém rozwinięciu sił umysłowych dziwnie uporne zakołowacenie głów? — Gdzie klucz do labiryntu sprzeczności, w pośród których religia stała się sektą, arystokracya fakcyą, lud motłochem, literatura i sztuki rzemiosłem, a każdy nowy przemysłu wynalazek plagą i przedmiotem przekleństw milionów? — Z jakiejże to może pochodzić przyczyny? Odpowiem oto: w téj rozmaitości niema zgody, w pojęciach i dążeniach spojni i jedności; przemysłowi i potędze

brak wielkiego celu dla ludzkości, siły myślenia są bez wykładnika, w około pełno formułek ale w formułkach anarchia tylko.

Zagadnie kto: przecież Anglia jest przedmiotem podziwu, przykładem, który inne narody na wyścigi i to nie bez korzyści naśladują, — gdzie cywilizacya wygórowała do stopnia, jakiego ani w starożytnych ani w nowych wiekach niewidzieliśmy. — Nie przeczę. Jest jedność w ubieganiu się za materyalnym bytem, jest zgodność między siłami ile razy idzie o wzajemny pożytek, jest odporne przymierze przeciwko wszystkiemu co nie produkuje, samolubna federacya interesów ziemskich, — ład i porządek, by dla ubiegających się nie brakło miejsca a dla szczęśliwych bezpieczeństwa ku wyłącznemu używaniu osiągnionych korzyści. Wyrobiono siły, wydoskonalono funkcye, przewidziano wszelkie trudności — podzielono ludzi, ich zdolności, ich namiętności na kratki, na kondygnacye. Inne narody, ile że przy ciągle rozwijających się i gmatwających stosunkach społeczeństw, zawsze patrzeć będą z uwielbieniem na starszych doświadczeniem braci i korzystać z wypadków, do których oni przyszli trudem i cierpieniem. Ale i to tylko strona zewnętrzna, gdzieindziéj znajduje się warunek życia, prawdziwego szczęścia i wielkości. Siła żywotna nie jest przeto trwalszą, pewniejszą w olbrzymie niż w niedorostku, że budowa olbrzyma może być wzorem piękności i doskonałości organicznéj człowieka. Uczony anatomik niemniéj od prostaczka podlega niebezpieczeństwu, choć wie jak muszkuły działają, jak krew opływa po żyłach. Cywilizacya wynajduje kształty, zgaduje warunki, przeczuwa cele, ale podnosząc życie na obszerniejsze wymiary, rozwija złe jak dobre zarówno, jeżli jeszcze nie prędzéj, skoro nią nie kieruje coś wyższego, nie zależnego od zmian i przygód ziemskich. Na zapytanie czém jest cywilizacya nie dawno znakomity pisarz odpowiedział: „jestto jedność materyalnego bytu, wspólność interesów ziemskich, czekająca na zjawienie się słowa Bożego." — Miałożby to być prawdą o Anglii — miałżeby ten naród być wybranym od opatrzności ku nowéj nauce, za najświetniejszy przykład, za najgroźniejszą przestrogę, bodaj ostatnią, rodowi ludz-

kiemu? Spodziewajmy się, że tak i że rzecz łatwo się dokona. Nie trudno temu, kto wraca do domu — a prawdziwy postęp Anglii pocznie się od nawrotu.

Prawda o niechybności podobnego warunku prawie jeszcze nieświta na horyzoncie angielskim. Wszyscy jednak czują brak czegoś, niebezpieczeństwo, przestrach jakby przed zbliżającém się millennium. Zimne, uczone głowy szukają ratunku, ale w ciasnym obrębie dawnéj rutyny. Pobijają ciągle machinę polityczną coraz nowemi sztabami. Gdzie się śrubka odkręci lub gwoździk wypadnie, zaraz przedsiębiorą skrzętne naprawki i ulepszenia. Nie widzą, że środki ostrożności choćby i najmędrsze, mało co warte, są atoli szlachetniejsze serca i gorętsze umysły, które przeczuwają na daléj; — pomykają się ku prawdzie choć bardzo powoli, omackiem, mimowiedzy. — Już pogarda dawnéj rutyny, która ich mniéj zrozumiałymi od pierwszych czyni, a wystawia na szyderstwo swego wieku, już żądza czegoś wznioślejszego, już nieokreślony smutek ich duszy są pierwszemi promieniami wschodzącego światła, zbliżającéj się przemiany. Smutek ten, niepokój, gdy się zniżył do rozpaczy, zrodził Byrona w literaturze, a Owena i Socyalistów w filozofii praktycznéj, gdy się wzniósł do nadziei, stworzył Puzeizm w religii, a w polityce *Młodą Anglią.* —

Jakie miała początki ta nowa polityczna szkoła, skąd jéj imie, gdzie pierwsze prace, to częścią może być tylko domysłem, częścią rzeczą obojętną, wyjąwszy dla malowniczego kronikarza naszych czasów. Gorączka *bilu reformy* sprawiła oddziałanie, zwątlenie i niesmak z zawodu. Całą winę rzucono na półśrodkowców Whigów. Na Whigów padły wszystkie razy. Przez ich to niepopularność raczéj jak przez własną zasługę lub miłość ze strony samychże pomocników przyszli do władzy Torysowie pod nowém nazwiskiem Konserwatorów. I zaraz w kilku pierwszych tygodniach pokazało się, że nowi sternicy muszą naprzód w tym samym kierunku płynąć. Przyswoili oni sobie zupełnie tym razem systemat przeciwników politycznych. Ztąd ciche, naprzód tłumione, daléj coraz widoczniejsze nieukontentowanie nawet w szykach zwycięzców. Ministrowie niedbali na szemrania, bo mieli w par-

lamencie niezmierną większość, która przez sam wstyd tak prędko odstąpić ich niemogła. W zastępie ministeryalnym zdawało im się, że posiadali dziedziczném prawem głosy młodszych synów parów, bogatych paniczów, dorabiających się literatów, którzy wszyscy albo wykarmieni mlekiem arystokracyi, albo nęceni do jéj przybytku to nadzieją zaszczytów, to pociągiem mody, winni im byli ślepe wedle ich mniemania posłuszeństwo. Jakżeż się zdziwili, gdy w tym tłumie, który za dobrych czasów Percevala, Liverpoola, Castlereagha zbiegał się prosto z balów po północy, by wotować za rządem, niepytając o co idzie, teraz zaczęły się podnosić głosy, wyrzuty, napomknienia opozycyi. Czas było pomyśleć o zaradzeniu niebezpieczeństwu. Użyto najprzód broni szyderstwa — ktoś nazwał młodych, niepodległych torysów młodą Anglią, wiedząc jaki wstręt naród czuje do młodéj Francyi, do młodych Włoch i t d. i ta nazwa im się została.

Policzeni w poczet nowéj szkoły znakomici są nie liczbą ale talentem. Darmo szukać między nimi jedności pomysłów, niewywiesili jeszcze żadnego godła, mają tylko wspólnictwo niewyraźnych uczuć, niesmaku ku temu, co jest, żalu za przeszłością i łączą się w szukaniu ratunku za obrębem znanych dotąd sposobów. Nieutworzyli więc dotąd partyi, i ktokolwiek podniesie głos przeciw dzisiejszemu układowi towarzystwa zaraz go liczą do tego kółka. — Do młodéj Anglii należą: Smythe, syn dyplomaty Lorda Strangford; autor bardzo młodocianego dzieła pod tytułem: *Urojenia historyczne*; Lord John Manners, poeta, nowoczesny Sydney; Milnes, który niedawno powrócił z Rzymu, a teraz Niemcy zwiedza, przyjaciel Montalemberta, pierwszy z protestantów, co śmiał w izbie oddać hołd religii katolickiéj i radzić ministrom, aby posłali ambasadora do papieża, i jeszcze inni członkowie parlamentu; na czele, o ile podobna szkoła może mieć przywódzcę stoi d' Israeli, znakomity publicysta, autor romansów i mówca. W pograniczu tej drobnéj kolonii przebywają z jednéj strony Lord Ashley, obrońca ubogich i klassy wyrobniczéj a z drugiéj Dawid Urguhart, apostół nowego systematu w rzeczy związków Anglii z obcemi narodami. W izbie wyższéj posądzają dwóch parów, a co większa jednego z biskupów,

że są im przychylni. Na wielkim świecie, kilka dam modnych i kilkunastu młodych literatów stanowią pierwszy szereg wyznawców, — Dziennik Times bierze młodą Anglią często w opiekę na zasadzie, że młodość ma szlachetniejsze popędy i lepiéj widzi potrzeby przyszłości, równie jak przez wdzięczność, za ich opór przeciw nowemu prawu ubogich. Inne dzienniki rade ich pracom naprzód dla tego, że mają modę za sobą, a późniéj z powodu że trudno gniewać się na tych, którzy wszystkich po kolei cenzurują. Księgarz Bentley ogłosił że od nowego roku wydawać będzie Tygodnik pod tytułem Młoda Anglia. Ale za najpoważniejszy organ nowéj szkoły uważać należy kwartalny przegląd *The New Quarterly Review*. Co dziwniejsza że jednym z jego założycieli i współwydawców jest Gladstone, aż do tegorocznego otwarcia parlamentu minister handlu. Już wspomniałem o dziele historycznem Pana Smythe, o poezyach Lorda John Manners Milnesa. To szkoda, że jak ci panowie niemogą się pozbyć elegancyi w ubiorze, co na osoby ciągle bywające w wielkim świecie niebyłoby śmiesznością, gdyby nie sprzeciwieństwo batystowych chustek i białych rękawiczek z tą trochę płaczliwą żałością nad nędzą ubogich, tak też niezdołali jeszcze uniknąć trefnisiostwa w literaturze. Noworoczniki keepseki, sztambuchy na rok 1845 pełne są ich sielanek, miłośnych poezyi, akrostychów i sonetów. Bieda że są w modzie i że im kobiety pochlebiają. Ostatnim ich politycznym manifestem były mowy na październikowém zebraniu w Manchesterskiem Ateneum, literackim klubie dla robotników. Najgłośniejszym i najznakomitszym Romans Pana D' Israeli pod tytułem Coningsby, czyli Nowe pokolenie.

W przeciągu 6ciu miesięcy wyszły trzy edycye romansu Coningsby; księgarze nie pamiętają takiego pokupu. Tło, zarys powieści niema żadnéj wartości. Autor wprowadził na scenę do 60ciu działaczy tak wyraźnie nakreślonych, że niepodobno nierozpoznać żyjących osób, z których brał wzory. Od pięknéj osobistości księcia Rutland do brzydkiéj i plugawéj figury pana Crokez, dawnego factotum Torysów a dzisiaj jednego z wydawców pisma Quarterly Review, przesuwają się przed nami wszyscy prawie ludzie czy złéj, czy

dobréj sławy, którzy w ostatnich czasach mieli udział w grze politycznéj. Coningsby, człowiek nowego pokolenia kryje P. Smythe. Ale główną figurą jest Sidonia, żyd Hiszpański, który z sardonicznym uśmiechem na ustach, otwiera niedoświadczonym oczy, jest mentorem tej złotéj młodzieży. Jedni mówią że to ma być któryś z Rotszyldów, drudzy że sam d' sraeli. W rzeczy saméj wiadomo, a przynajmniéj łatwo poznać z nawiska, że autor jest starozakonnego pochodzenia, z tém się bynajmniéj nietai, owszem, gdzie może, wynosi nad wszystko czystą krew i genjusz żydów, a dając za przykład Soulta, Kankrina, Mendizabala, im zarząd świata przyznaje.

Niebawem wyszła książka, haniebna spekulacya księgarska z kluczem do całego romansu, a dziś o niczem niemówią w Londynie tylko o zapowiedzianéj odpowiedzi pod tytułem: Anti-Coningsby czyli nowe pokolenie jak się zestarzeje.

Autor jakby mimochodem, choć to głównym celem jego dzieła, wprowadza zadania spółeczne o konstytucyi, o historyi, o stanie całego kraju. Pytaniem jest, czy się godziło dla ogłoszenia choćby i najzbawienniejszéj teoryi używać za narzędzie, za sposób wzbudzenia ciekawości, tak dotkliwéj a często nawet złośliwéj satyry na osoby dotąd żyjące? Czy moralność w Anglii zeszła tak nisko że potrzeba Juwenala? — Mamyż policzyć romans d' Israelego do rzędu utworów jak les Amours des Gaules, albo Matyldy? — Niestety, obojętność, zakołowacenie umysłowe, o którem wprzody mówiłem, doszły w Angli do tego stopnia, że prawdy skromnie, po prostu powiedziane już nie zrobią ogólnego wrażenia. Zestarzałym narodom prawdę, żeby się przyjęła, zwykle podają malowniczo, chyłkiem, od niechcenia, a nawet zdradziecko. Młode, w czerstwości ciała i umysłu, obejdą się bez przydatków i omamień. Zgrzybiałość ludów podobna do ich niemowlęctwa, oba te wieki lubią mimiczność, ubiegają się więcéj za cieniem jak za istotą. Dziecię, szaleje za obrazkiem, starzec za karykaturą. —

Coningsby czy całkowicie przetłomaczony, czy tylko w treści podany, niezająłby czytelników polskich. Trzeba znać dobrze osoby, żeby zrozumieć tysiące przycinków, napomknień

obrazów. Ale zasady i opinie wyłożone są niezmiernie ciekawe jako najzupełniejsze wyznanie wiary nowych reformatorów. Wezmę pod uwagę najważniejszy przedmiot, to jest, jak d' Israeli uważa przeszłość historyczną Anglii. Ważniejsze spostrzeżenia, jakie w dziełach innych członków szkoły wyczytać mi się dało, posłużą do dopełnienia rozbioru.

„Wielkim celem Whigów w Anglii, mówi d' Israeli, od „pierwszego poruszenia pod Hampdenem, aż do ostatniéj, „pomyślnéj rewolucyi w 1688 roku, było założenie arysto„kratycznéj rzeczypospolitéj na wzór weneckiéj, wtedy przed„miotu nauki i uwielbienia teoretycznych statystów. Czytaj „Harringtona, czytaj Sydneya, a obaczysz jak dusze głównych „polityków Angielskich w *XVII.* wieku były przejęte tym „pierwotworem weneckim. I w końcu udało im się. Wilhelm „*III.* od razu odgadł dążenia ukryte. Powiedział naczelni„kom whigowskiego stronnictwa: „Nie chcę być Dożą“ i ostał „się jedynie na równowadze partyi, a tak pomięszał szyki „polityków jak purytanie 50 lat przedtem. Panowanie jego „w Anglii trzeba uważać jako walkę między Weneckim a An„gielskim systematem. Dwaj wielcy Whigowie Argyle i Shrews„bury, godni krzesła w radzie dziesięciu, zmusili królowę „na łożu śmiertelném do zmienienia ministerium. Doszli oni „do zamierzonego celu. Przyzwali na tron nową familią i to „na warunkach przez siebie podyktowanych. Jerzy *I.* był „dożą; — Jerzy *II.* był dożą; — byli tém czem Wilhelm „*III* wielki człowiek być niechciał; — Jerzy *III.* usiłował, by „nie był dożą — ale niemógł się oprzeć rzeczy na tak głębo„kich spoczywającéj fundamentach. Łatwo mu przyszło poz„być się Whigowskich wielkich ludzi, ale nie konstytucyi We„neckiéj. I tym sposobem Wenecka konstytucya rządziła An„glią od wstąpienia na tron domu Hanowerskiego aż do ro„ku 1832.“ —

Oto jest założenie, bardzo dziwne zapewne dla wielu z naszych czytelników. Pożyczywszy teraz soczewki od nowéj szkoły spojrzyjmy na przeszłość historyczną Anglii w ciągu trzech ostatnich wieków. —

Wojny róży białéj i róży czerwonéj złamały, zniszczyły prawie do szczętu starą normandzką arystokracyą. Kiedy

Henryk *VII.* przywołał do siebie dawnych Baronów, 29ciu tylko przy tronie się znalazło. Przyszła reformacya: na łupiestwie kościołów zbogacili się liczni faworyci dwóch z porządku królów i dwóch królowych. Powstał nowy podział ziemi, powstała nowa Arystokracya, ale Arystokracya bez uroku, bez powagi. Sydney wspomina o niéj z pogardą; a o kommunerach (commoners) mówi, że są tak niepodlegli jak tytułowani panowie, że wielu kommunerów urodzeniem jest równych patentowanym, majątkiem znakomitszych od największéj ich liczby. Ci to ostatni za Jakóba *I.* pokusili się o wszechwładztwo w państwie. Każdy z nich był dostojnym kawalerem, każdy w młodości kołysał się na gondoli, każdy czytał Machiavellego i Giannottego. Napatrzyli się na naczelnika państwa, który tylko służył do wystawy i uroczystości na wielką radę magnatów, którzy stanowili wszystko. Jakże nieuwielbiać politycznéj konstytucyi, wedle słów Harringtona, tak nieśmiertelnéj, tak dobroczynnéj, ze swojéj natury, że dotąd stoi Wenecya, dźwigając tysiąc lat pokoju na swoich barkach. Z téj to szkoły wyszli naczelnicy rewolucyi za drugiego Stuarta. Urodzeniem, wychowaniem, charakterem godni byli zapisu w złotéj księdze. Eliot, Wentworth, Hampden, Fiennes, Sr. John, Hazelrigge mogli stanąć bez sromu przy Mocenigach, Grimanich, Contarinich. Tylko jak zwykle, rewolucya ich ubiegła i daléj poszła. Poszukano wzoru nie w marmurowych pałacach i złotych przybytkach Wenecyi, ale w ubogiéj, posępnéj Genewie. — Atoli zapał czy republikancki czy religijny przemija w ludzie, — instynkta polityczne w szlachcie nigdy. Powrót Karóla *II.* na tron był powrotem monarchizmu angielskiego, i na chwilę ucichła anti-monarchiczna oligarchia, wszakże, gdy późniéj władza duchowna kościoła zaczęła odzyskiwać dawną przewagę, kiedy poszedł postrach że może trzeba będzie zwrócić dawną grabież kościołowi, uknowano nowy spisek i o mało co zupełnego nie osiągnięto zwycięztwa. Wypędzono Angielskiego monarchę za pomocą Hollenderskiego przybysza i dotąd, jak mówi w jednéj z swych poezyi Lord John Manners, osierocona religia śpiewa ponure requiem w królewskich grobach Stuartów. —

Skoro książe Oranii zwyciężył — oświadczono mu, że miał tylko służyć do przepychu, dla reprezentacyi. Lecz angielscy patrycjusze znaleźli w nim nie ślepe narzędzie ale pana. Zagroził, im że ich porzuci, zostawi samych na zapasy z narodem, któremu byli nienawistni, — „niechcę stać się Dożą“ zawołał i potężném berłem odsunął ich od władzy. — Trudno powiedzieć który system przeważał za Anny. — Dopiero w ostatnich jéj latach narodowa partya, pod naczelnictwem Bolingbroka przemogła. Wszakże przed samą ostateczną chwilą patrycjusze zdobyli się na szalone, natarcie i jednym zamachem zniszczyli przygotowania do powrotu narodowego monarchy. Elektor Hanowerski słaby, rozlazły, niemający ani jednego przymiotu wspólnego z Hollenderskim Statuderem, przybył i poddał się od razu. Rząd postawiony został na podstawie, która do dzisiaj dnia dotrwała, króla wypędzono z swéj własnéj rady, i szalona mistyfikacya odpowiedzialności ministrów przed parlamentem z ich własnych partyzantów złożonym po raz pierwszy spadła na naród. —

Niepolenili się zwycięzcy korzystać z odniesionego zwycięztwa. Odtąd skierowali wszystkie dążenia, aby ograniczyć prawa ludu a podnieść przywileje arystokracyi Weźmy trzy najgłówniejsze bile, wprowadzone przez wigów za nowego króla. Zaraz pierwszy rok jego panowania został na zawsze pamiętnym ustanowieniem monopolium na zboże które dotąd toczy wnętrzności najżywotniejszéj części narodu. Potem przyszedł siedmioletni akt, który przedłużył do lat 7. trwanie parlamentu, by tym sposobem osłabić kontrollę wyborców nad wybranymi, a wzmocnić władzę ministrów. Czemże był ten trzeci bil, na mocy którego po pewnym czasie miano ograniczyć liczbę parów, jeżeli nie zamiarem utworzenia złotéj księgi jak w Wenecyi. Kto się opierał, kto ten ostatni zamach zniweczył? Oto Torysowie Bolingbroke, Wyndham, Shippen. Za Jerzego *II.* nastało nowe pokolenie dylettantów liberalnych, którzy wzięli izbę niższą za świątynią bogini wolności a siebie za jéj kapłanów ogłosili. Dla króla byli to Horacyusze Koclesy, dla królewicza usłużne kajmakany. Wigowski Patriota owego czasu,

z izby, gdzie obsypywano oklaskami przypomnienia klassyczne, któremi wzywał cieniów Brutusa, Deciusza, Regulusa, i odwoływał się do surowych cnót i wstrzemięźliwości spartańskiéj, wychodził, by zasiąść przy wspaniałéj wieczerzy u kochanki Następcy tronu i z tym naradzić się, jak skłonić parlament do zapłacenia jego długów, nagromadzonych rozrzutnością i swawolą. Polityka stała się dla aspirantów tém, czém była wojna przed wieki. Nikt nie mógł dojść do czegóś, kto się nie przywiązał do jakiego wielkiego, potężnego domu. Niedziw więc, że za dwóch pierwszych Jerzych, Tory i patrjota stało się synonimem. Nienawiść przeciw domowi Hanowerskiemu, zgroza na przedajność i przekupstwo, któremi Walpole ustalił nową dynastją, niechęć ku wdzierającemu się w anglikanizm nowotworstwu religijnemu z zagranicy, wszystko to zrobiło Torysów ze wszech miar popularnymi. Przeciwnicy nazywali ich stronnictwo chłopcami *the Boys*, przez szyderstwo, tak jak dziś podobna zawiść podobnéj zasłudze rzuca na pośmiewisko nazwisko Młodéj Anglii.

Jerzy *III.* starał się zrzucić jarzmo. Zużyli się na téj próbie i Bute i Bedford i Grenville. Stary Pitt powiedział mu: „Wasza Królewska Mość bespiecznie i korzystnie tylko z wielkich domów rewolucyjnych możesz ministrów wybierać.“ Te wyrazy malują cały ciąg polityki od 1688 do 1783; a pewnie się nie mylił mąż, który całe swe bohaterskie życie sterał na walce z intrygami i niecnotą przeciwników. Synowi Pitta zostawione było złamać, skruszyć więzy oligarchii. Przyzwał on średnią klassę na pomoc. Marzenia Bolingbroka zdały się być bliskiemi urzeczywistnienia. Anglia miała wreszcie króla patryotę i monarchiczną demokracyą. Ale nie długo trwała pogodna chwila. Trzeba było i podnoszące się głowy przeciwników poskromić i nagrodzić pomocnikom. Pitt młodszy otworzył na rozcież podwoje izby wyższéj dygnitarzom handlu i przemysłu. Niesłychaną dotąd pomyślnością i wzrostem handlu przekupił na swoję stronę wszystkie niższe stany. Czarnoksięskim fortelem długu narodowego pozwolił im wzbogacić się i wzrość na pany kosztem potomstwa. Złoty Paktolus, który płynął ze

skarbu rządowego, dzielił się na mnogie gałęzie i nie było tak nędznéj wioski w królestwie, do któréjby jaka z jego błyszczących smug nie zaciekała. Haniebnego użył środka, ale może koniecznego. Starzy magnaci musieli znowu pomyśleć o zasadach, o dobru państwa. Młoda arystokracja równie potężna w obu izbach, wprowadziła znowu surowego ducha partii. — Pit nagradzał talenta, gdzię się tylko pojawiły, i téj zmianie, temu przełamaniu dziedzicznéj władzy kilkudziesięciu domów winni są wyniesienie póznicjsze Huskisson, Canning, Robert Peel. Pitt jak Perykles zgniótł oligarchją, a na jéj gruzach wywyższył średnią klassę do władzy, bogactwa i dostojeństw.

Nowi Arystokraci w krótce zasmakowali w przywilejach, w wyłączności. Zaledwie Pitt umarł, pożyczyli oni płaszcza od dawnych patrycjuszów. Przesadzali się w naśladowaniu przywar starszego bractwa. Obrócili się przeciw ludowi. Ci, których z tłumu wywołał minister, który zreformował izbę wyższą, który porzucił miejsce u steru, że nie zdołał wyemancypować Irlandii, który pierwsze zasady wolnego handlu położył w traktacie z Francją 1785 roku — ci mówię, zaparli wrota izby przed nowymi przybyszami, rozbudzili znowu nienawiść przeciw katolikom Irlandzkim i napełnili swe worki najszkaradniejszym monopolem na zboże. Patrząc na nich, niepodobna ich nieporównać do téj części Weneckiéj szlachty, którą zwano szlachtą z wojny kandyjskiéj. — Myślałby kto, że ich klejnoty za męztwo, za rycerstwo nabyte. Bynajmniéj. Kiedy w *XVII.* wieku Wenecya poczęła upadać a skarb wypróżnił się wojnami, dla znalezienia środków na koszta wojny z Kandią, sprzedano tytuł szlachectwa stu domom, za 100,000 cekinów każdemu i stało się to samo, co w Anglii. Nowa arystokracya zamiast podparcia, wzmocnienia ojczyzny, poczęła starą naśladować, przejęła wszystkie jéj wady, żadnéj cnoty nie przejmując. Ostatni Doża, Manini, który podpisał dekret śmierci rzeczypospolitéj z téj plebejuszowskiéj arystokracyi pochodził. —

Brakło nareście cierpliwości ludowi. Klassa kupiecka obróciła się przeciwko tym, którzy się wspólnego z nią początku wyparli. Starzy magnaci, pałając zawsze nienawiścią ku no-

wym tytułom, skorzystali ze sposobności i stanęli na czele narodu. Niechodziło im o izbę Lordów, bo w niéj byli w wielkiéj mniejszości, izbie Lordów dali pokój. Akt Reformy przeszedł w r. 1832. Izba niższa stała się wszechwładną, wyższa spadła do znaczenia bióra mającego na celu zaciągać ukazy pierwsze na listę aktów publicznych. Zwyczajną koleją nowi możnowładzcy, nie czując nad sobą wędzidła, poczynają zapominać swego pochodzenia. Naród widzi, że kołując bezprzestannie w jedném zakresie stanął w końcu u przełomu niebezpiecznéj pochyłości, przyzywa więc nowych żywiołów, wzdycha do zupełnie nowéj przyszłości, staje za obrębem dzisiajszych stronnictw i formułek. Śmierć położyła palec na czole dziś walczących partii. Whigowie się zużyli, Konserwatyzm jest obłudą, Radykalizm plugastwem. Izba niższa stała się niewolnicą zręcznego Judasza (Roberta Peela.) — Arystokracya złożyła panowanie i trudno się podnieść, bo niema za sobą ani uroku dalekiéj przeszłości, ani miłości ludu w obecnéj chwili. Wszystko to są stósonkowo nowi ludzie. — Z 29 rodzin, których reprezentaci stanęli przy tronie Henryka *VII.* pięć tylko po dziś dzień zostało. Dzisiejszą Arystokracyą składają, 1) Ci co powstali na łupieżach kościoła. 2) Nabywcy dostojeństw za dwóch pierwszych Jerzych, 3) Spanoszeni na handlu i przemyśle plebejusze, którym Pitt otworzył wrota, do przybytku westminsterskiego. Zejdźmy przypatrzyć się bliżéj machinie rządowéj; czem jest dzisiajsze ministerium, czém dwaj główni jego naczelnicy, — czem w ogólności Konserwatyzm- — Peel matacz, hipokryta, namiestnik Whigów, pod innym tytułem ich rządy sprawuje. Z Wellingtona dobry jenerał, zły statysta. Wojskowi są zawsze najgorszymi politykami. Przyzwyczajeni do brania prędkiéj decyzyi na razie, nie dają baczności ani na wolno, zdaleka działające przyczyny ani na znaki przybliżających się wypadków. Dziś wszystkiém dla nich, sąd ich zależy najczęściéj od ostatniéj wieści, od ostatniego podsłuchu, który im adjutant przyniesie. —

„Konserwatyzm, mówi Israeli, utrzymuje w teoryi, że „trzeba zachować wszystko co istnieje; — w praktyce, że

„cokolwiek istnieje tego bronić niepodobna. By pogodzić „tę teoryą z praktyką wynalazł on to co się zwie „*the best* „*bargain*" to jest sposób uzyskania jak najwięcéj od prze„ciwnika, układ, przymierze, które niema ani zasady ani „celu, chyba tylko żeby wytargować chwilę pokucie, do„póty, dopóki duch konserwatorów bez przewodnika, bez „zamiaru, durzony, kuszony, obłąkany nieprzygotuje się do „nowego układu, równie mądrego jak pierwszy. Konser„watyzm dzisiejszy pokazuje jak można rządzić niewypeł„niając funkcyi rządu, ale kładąc na ich miejsce ścisłe wy„konywanie obowiązków biurowych, i jak utrzymać bier„ny systemat prostym wpływem majątku, znaczenia i do„bréj reputacyi. Usuwa on na bok przedawnienie, wzdry„ga się na zasady, wyklina postęp, pozbywszy się wszel„kiéj czci dla przeszłości, nie podaje żadnego środku na „dolegliwości obecne, nie krząta się około przygotowań na „przyszłość. Na czas przy pomyślnych okolicznościach kon„federacya taka udać się może; ale skoro nadejdzie wstrzą„śnienie, jakiemu wszystkie państwa periodycznie podlegają „a jakie zimna i martwa polityka rodzi i przyspiesza, wtę„dy zaraz brak wszelkiéj siły do oporu, przekleństwo po„litycznéj niewinności sparaliżuje wszelkie działanie i popęd „do czynu i w końcu pokaże się, że ta zachowawcza kon„stytucya nie była niczem innem tylko caput mortuum."

Dolegliwe są słowa podobne, osobliwie w ustach jednego z tych, którzy na swych barkach ponieśli do steru naczelnika dzisiajszéj polityki. —

Atoli niedosyć wytykać błędy, znajdować przywary, trzeba coś postawić na miejscu tego, co się chce rozwalić. Tu się dopiero prawdziwa trudność i mozoły poczynają. Jakiéjże to przyszłości żąda nowa szkoła? Oto urzeczywistnienia pięknéj myśli Bolingbroka: monarchicznéj demokracyi i króla patryoty z dodatkiem teraz jednego kościoła otoczonego miłością i zaufaniem całego narodu. —

Król patryota, podług Bolingbroka, jestto jakaś czysta boska istota, bez wędzidła, bez ograniczeń, wnikająca ciągle w całą organizacyą społeczności, bez ustanku wsumieniająca się w naród. By jednak téj doskonałéj natury nie

stracił, filozof takie daje mu rady: „król patryota — mówi on — powinien pamiętać że jest sternikiem okrętu, należącego jako własność do załogi. Największe dobro dla ludu wolność stanowi, bez niéj niema szczęścia dla społeczeństwa; bronić jéj uważamy za najświętszy monarchy obowiązek. Niech pomni że konstytucya jestto jedno prawo, złożone z dwóch tablic, jeden system sklejany z rozmaitych części i władz w tak doskonałym stósunku i harmonii, że każda zosobna do piękności i bezpieczeństwa ogółu musi się przykładać. Ta jednak zachodzi różnica że króla prawa są pośrednie, pożyczone, prawa zaś narodu bezpośrednie, nieustające, istotne“ — Podobnych rzeczy aż nadto nasłuchaliśmy się w naszych czasach, przytoczyłem to jednak, żeby wiedzieć na co się młoda Anglia powołuje. Daléj kościół ma być jeden a kapłani zarazem trybunami ludu; pośrednictwo między monarchą a życzeniami ludu oddaje nowa szkoła opinii publicznéj reprezentowanéj przez dzienniki; zaś powagę, urok, władzę króla nad ludem odnosi do jakiegoś wpływu nadziemskiego pokrewnego mocy, którą monarchowie dawni uzdrawiali nieuleczone choroby przez proste rąk położenie. —

Takie to są pia desideria młodéj Anglii. Non meus hic sermo, nic niedodałem, tylko wypowiedziałem bez ogródki, to, co jeszcze w jéj pismach bywa zasłonioném, i ułożyłem pewną całość, za jaką wszyscy nieprzyjęliby może solidarności. Trudno było inaczéj postąpić z ludźmi, którzy piszą pojedyńczo, a żadnych zasad korporacyjnie nieobwieszczają. Wszakże tylko co poważniejsze zdania przytoczyłem. Łatwo dojrzeć, jak wiele jest talentu w tém nowém uważaniu historyi. — Ten co dotąd szedł za Humem, Haltamem, a nawet Lingardem ujrzy z nowego stanowiska pełno prawd niespodzianych. Widoki na przyszłość nie tak są zaspokojające. Ale to już wina wszystkich szkół poczynających. Największą wadą młodéj Anglii, kiedyż młodość w ten sposób niegrzeszyła, że obiecuje wszystkie razem doskonałości: króla patryotę z nieokreśloną władzą i demokracyą wszechmocną; kościół bez przypuszczenia niejedności lub schyzmy i wolność myślenia nieograniczoną. Uczucia jéj są Torysoskie, przeczucia radykalne. Każdy z wyznawców drapuje się, sta-

wia jak Paladyn, a siada do rady z republikanami. To pewno, że już form Parlamentarskich niechcą, ani konstytucyi czy to nadanych przez króla, czy wyrobionych przez Arystokracyą. — Wszystko jest może tylko marzeniem, które pierwszy wiatr rozwieje. Ale co jest pocieszającém, co się ostoi i ostać się musi, to coraz głębsze przekonanie równie z doświadczenia historycznego jak z teoryi, że wszystkie choroby w Anglii poczęły się od odstąpienia kościoła, że brak wiary musiałby rozbić nawet tak potężną organizacyą jak Angielska, i że powrót do jednego kościoła i wiary są jedynym ratunkiem. —

O kilku dziełach z lekkiego piśmiennictwa w ostatnich czasach.

Lechia w IX. wieku, powieść historyczna przez W. B. Lipsk, 1843, 2 tomy — Biała Kniehini, pow. his. przez W. B. Lipsk. 1844. 2 tomy — Maleparta powieść historyczna z XVIII wieku przez J. Kraszewskiego; Lipsk 1844. 4 tomy — Karolina powieść przez Wacława Mańkowskiego, Wilno 1844, 2 tomy — Miasta Góry i Doliny przez L; z ks. G. Rautensztrauch; Poznań 1844. 5 tomów — Ramoty i ramotki literackie napisał Au. Wi.; Warszawa 1845. 2 tomy — Wolne chwile Gabryelli, Poznań 1845. tom 1wszy. Poezye R. W. Berwińskiego, Część I. Poznań 1844. Część II. Bruxella 1844 — Powiastki i Opowiadania żołnierskie z wojen od 1799 do 1812 r. przez Ad. Am. Kosińskiego. Lipsk 1845. 2 tomy. —

Wielekroć słyszeliśmy skargi na niepoważne usposobienie ogółu czytających w Polsce; zarzut jest sprawiedliwy, głośno go przeto a często powtarzać się godzi w istocie, pomimo że się od lat kilkunastu ruch literacki po wszystkich kraju ocknął kończynach, pomimo że z prób w próby kształcą się pisarze i coraz dojrzalsze dzieła przychodzą bogacić dziedzinę narodową. Smak znacznéj większości pozostaje wierny fraszkom, które próżniaczy dowcip tworzy a rachuba księgarską w obieg puszcza — księgarze zawsze najlepiéj wiedzą, jak bije tętno publiczne; nasi księgarze ubiegają się tylko za romansami i wszelkiego rodzaju gawędami; kiedy zaś uczeni w teki chować muszą owoce sumiennéj pracy i tracą wszelką otuchę, niewiedząc ani dla kogoby pisać ani gdzie szukać środków wydania, kiedy uczciwe przedsiębierstwa spotyka zawód albo obojętna pochwała, lada powieściopisarz jest pewny przedpłaty ba nawet sowitego zysku. Wspominamy o powieściopisarzach oryginal-

nych, cóż powiedzieć o tłomaczeniach. Każdy choćby najbezecniejszy utwór zagraniczny, francuzki szczególniéj, zaraz brany bywa na warsztat, wydawcy wydzierają sobie pierwszeństwo, nietyle kłopocąc się o dobór tłomacza jak o sposób, w jaki najlepiéj towar zalecić i wysilają się w przebiegłości żeby rycinami, szumnemi obwieszczeniami i szlachecko-dobrodusznemi pochwałami po dziennikach przyciągnąć kupujących. Tak niejedna powieść która w Paryżu nigdy nieprzekroczyła przedpokojowych albo kuchennych progów, wystrojona w Warszawie w kłamany urok wziętości zagranicznéj, rozbiegła się po całym kraju i dostarczyła wzorów do naśladowania lekkomyślnemu że niepowiemy zepsutemu nieczynnością i naukowo-skarłowaciałemu pokoleniu. Mamyż wezwawszy pomocy starożytnéj Nemesis jąć się wymieniać tytuły książek, a nazwiska wydawców? Nie, bo na małoby się zaczepna taka odwaga przydała. — Wina ciąży głównie na publiczności, która, jeźli nie przyzwoleniem to łatwością coraz bardziéj kramarzy literackich w złem utwierdza. Ciekawą choć smutną byłoby rzeczą przedstawić wykaz rozkupionych exemplarzy jakiego naukowego dzieła od wielu lat wydanego, w porównaniu z listą przedpłaty na pierwsze lepsze tłomaczenie francuzkiego romansu. — Jeźli się zdarzy, że która z prac historycznych lub literackich ma jeszcze jaki taki pokup, pewnie ją odnosić należy nie do działu pracowitéj nauki i sumiennych dążeń, ale do kategoryi klejonek i odpisów, które że głośniéj zalecane a ułatwiające nabywanie powierzchownych tylko wiadomości ze wszech miar na najsurowszą zasługują krytykę.

Czas przecie, żeby się rzeczy odmieniły. Już Krasicki wołał: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty.“ Wiele lat późniéj te same wyrazy powtarzał Mickiewicz ze skutkiem małoco większym. Dzisiaj możemy różnić się w pojęciach, wszakże wszyscyśmy powinni jedni drugich do uczciwéj pracy zagrzewać. Przekonajmy się raz, że nikt wielkim obowiązkom życia nie sprosta, kto się sumiennie a wyłączniéj w jednéj gałęzi nieprzygotuje, i że wrodzone zdolności szczodrzéj w kraju naszym jak gdzieindziéj rozlane, same nie są w stanie uchronić nas od niższości umysłowéj. Nie popeł-

niajmy anachronizmu; żyjemy w wieku oświeconym, w wieku, który wśród ciężkiego trudu cegły do wielkiéj bodowy przyszłości gromadzi; nie zasypiajmy, marząc o roskoszy, boć się zawsze trzeba do twardéj rzeczywistości przebudzić. — Książki, które łechcą próżniacze nałogi i smak do rzeczy poważnych psują, nieodpowiadają wymaganiom powinności naszych; zaprzyjmy tylko przed niemi wrota rodzinnych domów, a zaraz ocknie się zajęcie do dzieł mających rzeczywistą wartość. Po co z resztą trwonić uczucie w urojonym romansowym świecie, kiedy tyle jest łez szczérych w około; po co gonić za drobnemi illuzyami, kiedy wszystko blisko nas tchnie wielką poezyą nadziei; surowy jest przed nami zawód, po co drażnieniem zmysłowéj strony wyobraźni o niemoc się przyprawiać?

Daleka jest od nas myśl proskrypcyą wszelką lekką literaturę obarczyć, w nawyknieniach synowie wieku niezdołamy wznieść się do surowości Platona, który wygania z rzeczypospolitéj słodkie melodye Jońską i Lidyjską. „Bo, mówi, nic mniéj wojownikom nieprzystało, jak wszelkie upojenie, miękkość i spokój bezwładny.“ My lekkiéj literatury nie wyrzekamy się bezpowrotnie, chcemy tylko, żeby przestała zajmować najlepsze pod słońcem naszém miejsce, chcemy ją spędzić z wysokiego szczebla na niższy, wszędzie jéj sumiennie doglądając.

Tak zastrzegłszy sobie stanowisko, przystępujemy do rzeczy, zaczynając od powieści historycznéj.

Nie jesteśmy stronnikami utworów tego rodzaju, najlepsze nawet krzywią sąd i uwłaczają rzetelnéj historyi — każdy z nas niech sobie przypomni, o ile przegłośne Walter Skotta romanse Ivanhoe, Durward, Kenilworth omyliły jego wyobraźnią, obudzając współczucie dla charakterów nie wedle prawdy, ale wedle wymagań zawiłości przedmiotu wystawionych. — Jak trudno potém było, czasy i ludzi właściwemu przywrócić światu?

Oprócz tego w naszych czasach niezaspakaja zewnętrzna posągowa wydatność, dzisiaj nie marmurowych ale alabastrowych chcemy bohaterów, bo nam chodzi o to, żeby mistrz w głowach i w sercach pozawieszał lampy ku ana-

lizie myśli i uczuć. A przecież jest coś świętokradzkiego w zamiarze odtworzenia całego nieśmiertelnego człowieka jak był, coś odstręczającego w zuchwalstwie drobnych Prometeuszów literackich, wszczepiających swoje powszednie namiętności i swoje myśli mizerne w postacie czynami wielkie a wiekami spoważniałe.

W Polskiéj literaturze rodzaj romansu historycznego najmniéj się udał; ani Jana z Tęczyna, ani Tarły lub Ruszczyca Skarbka, ani nawet Pojaty niepoliczymy w rząd dobrych powieści; późniejszych nie warto wspominać. Kto u nas z piszących ma dosyć cierpliwości, by źródła przejrzeć poznać dzieje architektury i sztuk, z miłością antykwariusza starych zbroi i starych strojów podobierać i tak się w napół zatarte ślady wpatrzeć, żeby z nich odgadnąć i odbudować całą epokę w przeszłości? Wszyscy prawie domyślają się i improwizują nieskąpo, w najśmieszniejsze anachronizmy cokrok popadując. Przypominamy sobie powieść jakąś o Wandzie, w któréj autor Xiężnę we wspaniałym gotyckim pałacu, wśród świty strojnéj w aksamitne a złociste odzienia umieścił.

Pan W. B. nie zasługuje sobie na zarzut ślepéj niewiadomości, snać czytał i porównywał, radził się, wszakże jeśli jego powieści nie grzeszą rażącemi niedokładnościami historycznemi, brak im życia i kolorytu. — Przyczyna niedostatku jest dwojaka, leży ona raz w naturze wyobraźni Pana W. B., wyobraźni więcéj uczciwéj jak śmiałéj, wstrzemięźliwéj zanadto, żeby się podniecić aż do twórczego zuchwalstwa, powtóre w obranych przedmiotach, których pisarz nie jest, nie może być panem w całéj zupełności.

Weźmy *Lechią, w IX wieku*, w któréj przedstawia się nam epoka ostatniego Popiela; bohaterem powieści jest Ziemowit; głównemi wypadkami: otrucie stryjów przez żonę Popiela i zrzucenie z tronu pierwszéj lechickiéj dynastyi.

Nietykając zadania o Lechach i Polanach i uważając w prost Lechitów za Słowian nadgoplańskich, autor starał się uchwycić chwilę, w któréj obyczaje starosławiańskie na schyłku silném jeszcze życiem jaśniały, a na chrześcianizm dopiero zaczynało świtać. Wprowadził wieca, kmieci pa-

triarchów rodzin, pogańskie obrzędy i tajemnicze postacie łacińskich missyonarzy. Pierwszy zarys wiele obiecuje, ale wykonanie nie odpowiada pomysłowi. Skąpe texta kronik, sprzeczne często domysły nowszych badaczy, niedosyć pisarzowi światła użyczyły, jakeśmy już wspomnieli, sam nie jest tyle śmiały, żeby niedostateczności zapełniać: ucieka się więc co chwila do ogólników i uwag pospolitych, co wszystko tém jest w piśmiennictwie, czém w malarstwie kurz albo dym zaobficie użyte.

Chatę Piasta nie źle pan W. B. opisał, za to zamek Popiela i dwór jego za wspaniałe na owe czasy; nie w takich mieszkaniach Grzegórz Turoneński pokazuje nam Merowingów wcześniejszych wprawdzie, ale potężniejszych od Popiela i wśród większéj żyjących oświaty. A oweż wyrazy Marcina Galla: *Nondum enim ducatus Poloniae erat tantus, neque princeps orbis tanto fastu superbiae tumescebat*"... czyż nie ostrzegają dobitnie i to nietylko w rzeczy przepychu zewnętrznego, ale i co do rozmiaru dzierzaw Lechickich, które Pan W. B. daleko posuwa, poddając Lechii Pomorze i Rugią? Szeroki jak widzimy na scenę powieści zajął obszar i zdawałoby się, że nam go pokaże cały zmyślnym a dzielnym ludem jak mrowisko się ruszający, ale nie; w opisie wyprawy wojennéj i na wiecach życia tylko trochę nad Gopłem spotrzegamy. Urzędnicy jak przystawy, grododzierzcy za oględnie występują. Jednéj mitologii Słowiańskiéj, oparłszy się na Naruszewiczu i Lelewelu, śmiało i dużo autor używa.

Ziemowit niema nic wielkości założyciela dynastyi, naprzód tęskni niewiedzieć za czém, potém topnieje jak wosk od pierwszych spojrzeń Xiężniczki, daléj bez przejścia na zasadzie wróżby fałszywéj on kmieć nieorężny zostaje mianowany wodzem wyprawy przeciw Pomorzanom; jak wszyscy bohaterowie romansów wychodzi zwycięzko z potrzeby i zaraz niewiedzieć po co, ile że o tém trudno się w dziejach doczytać, wikła się w intrygę miłośną z królową Bazyną, która, obawiając się ambicyi młodego wojewody, każe go wtrącić w czarną przepaść nad jeziorem; cudownie jak cesarz Maxymilian w Tyrolu ocalony, wydostawszy się z ciemnicy

za pomocą panny Luzacyi przypatruje się jako niewidomy świadek uczcie piekielnéj stryjom przez królowę wyprawionéj i po dokonanéj zbrodni ucieka, pobudza lud na wiecach i z pomocą Kruszwiczan, wymordowawszy rodzinę Popiela, sam późniéj królem zostaje. Ziemowit do końca więcéj się chytrością jak niezłomną odwagą powoduje i w ogóle autor chytrość u Lechitów obok wszelkiego doświadczenia i rozumu mieści; Piastowi niedaje gołębiéj prostoty, coby bardziéj przystawało do jego poważnéj siwizny, ale mu w rozmowie z Xiążętami dwuznaczne wyrazy w usta kładzie i nawet Apostół łaciński Wiznóg zawiele u niego ludzkich środków używa.

Kobiety wszystkie źle oddane w powieści. Miłowan więcéj do trubadura jak do gęślarza Słowiańskiego rycerza razem, podobny. Zaś karzeł królowéj, złośliwy potwór, który jest wszędzie, wszystko zawsze podsłucha i co chwila złowróżbnym okrzykiem „zmowa na króla“ straszy, należy do rodziny fantastycznych istot, o jakie w zagranicznych romansach nietrudno.

Do dobrych scen policzymy sprzeczkę stryjów o władzę a opiekę podczas uczty na zamku i pogoń Zdomita za karłem.

Cała powieść napisana jest przyzwoicie choć nie bez zwrotów francuzkich w stylu. Archaizmy musimy autorowi wyrzucić, nawet zręcznie użyte zwykle prawdziwości barwie nie dodają, cóż dopiero, kiedy kto kilka tylko starych wyrazów wciąż z przyciskiem powtarza?

Niech nam wolno będzie krótki ustęp z zakończenia umieścić —

O Wiznogu nic już nie było słychać i słowa jego nie podbijały grodów, niezalegały w posadach, ale zdarzało się królowi, gdy z wojennych powracał wypraw, lub zapuszczał się na łowy, zatrzymać się przed chatą cichą na dolinie, lub karczmą pustą w lesie, i nieraz go zadziwiło, że przed domkiem, gdzie pierwéj na tykach wznosiły się posążki Bogów, dziś tylko drzewko jakieś samotne wichrzyło — przeszedłszy próg takiéj chaty, spostrzegał często krzyż z dębowego drzewa nad łożem gospodarza, do wpół zasłonięty przed okiem ludzkiém. Ziemowit zamiast karać niewiernego swoim bogom człowieka, zamyślał się głęboko, i przypomniawszy sobie biednego Apostoła wlokącego stare nogi po dalekich okolicach téj ziemi dla opowiadania słów pra-

wdy swojéj, zdumiewał się nad wiarą, która w duszach ludzkich taką moc i takie poświęcenia obudza. Tém wspomnieniem mimowolnie poruszony, przywodził sobie na pamięć pięć słów od Miłowana słyszanych i wymawiał je, robiąc trzy razy znak od czoła do ramion i piersi: „W Imie Ojca i Syna i Świętego Ducha — Amen.“ Ale te pięć słów miały się dopiero rozkrzyżować w poprzek i wzdłuż całéj Lechii pod władztwem jego prawnuka — a pod praprawnukiem rozciągnąć się na obszernéj przestrzeni zdobytych krajów i założyć posadę spółeczności, któréj dziesięć wieków zasypać niezdołało.

W *Białéj Kniehini* wystawia pan W. B. czasy Bolesława Chrobrego, oznaczając datę, rok 1005. Zawiązek historyczny w powieści stanowią: wojna z cesarstwem, zamysł Bolesława proszenia papieża o koronę i silne jemu oddziaływanie pogańskiego żywiołu. Wrzawy wojennéj niewiele słychać w całym ciągu, choć wiele obiecujący wstęp o straży śpiewającéj: „Cesarstwo wali się na Lechią“ treść wojenną wróżyć się zdaje. Z historyi Bolesława autor wybrał właśnie epokę najmniéj bohaterską, król ani razu oręża niedobywa i tylko z mierną zręcznością negocyacye prowadzi. W opisie obozu cesarskiego nic niepokazuje wielkiego zbioru ludów Germańskich, nic nam wodzów i ludzi sławnych ówczesnych nieprzypomina. Za Lelewelem powtarza pan W. B., że Słowianom niezmiernie chodziło, żeby się Bolesław przed papieżem nieuniżył i że dla tego zapewne wymordowali oni mnichów, u których król dary dla Rzymu przeznaczone pozostawił. Jest to prosty domysł na niczem nieoparty a wprost przeciwny dawnemu podaniu. My niepojmujemy, żeby ówczesnym Słowianom mogło tak wiele zależeć na przeszkodzeniu, żeby król od papieża korony niedostał; ci, co się jeszcze nie byli złacinnili, pewnie obojętném patrzyli okiem na większe lub mniejsze zbliżenie się Bolesława ze Stolicą Apostolską, zaś Polacy Chrześcianie czcili w papieżu nie tylko ojca wiary i oświaty swojéj, ale i jedyną władzę na świecie, która w mniemaniu ludów miała prawo wznosić głos przeciw bliskiemu ich nieprzyjacielowi cesarzowi. Lekko także przypuszcza autor, że mnisi Bolesława dla Cesarza zdradzali. Co się tyczy pogańskiego ruchu, jakkolwiek zamieszki po śmierci Mieczysława II dowiodły, że pogaństwo żyło w sercach,

zdaje nam się, że w r. 1005. autor za silny mu wpływ przyznał. W ogóle zarzucimy panu W. B., że niedosyć w źródła się wczytał, a za wiele na zdaniu późniejszych pisarzy polega.

Cała powieść dzieje się w puszczy Kaźmirskiéj i na jéj krańcach, to też puszcza podobna do zaczarowanego lasu w *Śnie nocy letniéj* Szekspira, wszystkich i wszystko co chwila spotkać w niéj można. Jest w puszczy i klasztór mnichów i miejsce obrzędów pogańskich i grota pustelnicy, nawet poganie zbroję złocistą Białéj Kniehini w ziemi zakopaną znajdują. Z zacieśnienia horyzontu idzie brak przestrzeni i perspektyw i nieraz zdaje się, że patrzymy na aktorów grających komedią, widzących się a udających, że się niewidzą.

Osobami głównemi są: Biała Kniehini, o któréj treściwie bardzo Dytmar wspomina, wodzowie i kapłani pogańskich Słowian, Syderyk brat Mistywoja X^cia^ Obotrytów, Mnichowie ś. Romualda, a szczególniéj Opat Tyniecki, kmieć Stoigniew i sierota Dobromira. Król niewiele się pokazuje, w całym ciągu zachowuje *incognito*, niepotrzebnie kręcąc się za drobnemi sprawami, w końcu dopiero jak *Deus ex machina* zjawia się w całym majestacie, by wszystko rozwikłać i rozświecić, jednych ukarać, drugich nagrodzić. Wartoż było wywoływać wielką postać założyciela państwa polskiego na to tylko, żeby w tonie skeptycyzmu politycznego ba nawet religijnego pomówił z opatem, przejechał się po bezdróżach w czarnéj zbroi i odegrał w końcu rolę Opatrzności? Samo wprowadzenie Bolesława na scenę jest niezłe i chętnie przytaczamy tutaj cały ustęp:

W jedenastym wieku przepych i bogactwo zaczęły już zaglądać do przybytku króla i niektórych możniejszych panów; to też komnata, do któréj wprowadzamy czytelnika, jeśli nierównała się królewskiemu mieszkaniu, wyrażała jednak pewną wielką zamożność właściciela włości i naczelnika twierdzy. Ściany jéj równie jak królewskich komnat obite były blachami lśknącemi od srebra i pozłoty. Wszędzie wisiały zbroje z tarczami, błyszcząc od światła lampy jaskrawéj i podłoga nawet usłana była suknem kosztowném, znać dla uczczenia gościa, który po niéj stąpał. W niektórych miejscach, z po za tarczy zawieszonéj na kołku srebrnym, wychodziły aż ku ziemi duże bla-

chownice i, gdy obok nich dzida się ostrzyła, każdy z wchodzących mógł wziąść te wojenne sprzęty za jednego od stóp do głów uzbrojonego rycerza, który stał z zasłoniętém obliczem jak przyrosły do ściany. Przy łożu usłaném bogato, po nad którém włócznia duża wisiała, na stołku zasłanym ozdobném węzgłowiem, siedział pogrążony w głuchem dumaniu mąż lekką zbroją okryty, nogą w podłogę uderzając. Tę lekką zbroję miał zawsze w pogotowiu w czasach, gdzie potrzeba jéj użycia mogła być nagła i nieprzewidziana. Był on w południu swojego wieku i od lekkiéj tuszy twarz jego wypełniła się nieco ciałem, ale czerstwo wyglądała z poza gęsto rozsianego choć krótkiego włosa i z po za kruczéj brody, wijącéj się w najpiękniejsze lśknące pierścienie. Czoło i cera wpadały nieco w śniady kolor, który mu prędzéj trudy wojenne, aniżeli natura pożyczyła; okraszała je lekko rumiana twarzy farba a ożywiało najsilniejszym ogniem czarne ruchawe i przeniklíwe oko.

Opat Tyniecki raz wystawiony jest jak poważny kapłan Chrześciański gotowy na męczeństwo za wiarę, na śmierć i niewolę dla usługi kraju, drugi raz jak nędzny matacz, to znowu jak spasły xiądz w rodzaju mnichów Ulrycha von Hutten. Zapominając, że się rzecz dzieje w epoce wielkiéj gorącości religijnéj, w czasach, w których wedle świadectwa Dytmara wykonywanie przepisów kościelnych obwarowano karami srogiemi do dzikości, pisze nasz autor:

Teraz rzekł, obracając się do rycerza opat — z przeproszeniem waszéj miłości, nim wam dam wieść o wszystkiém com widział i słyszał a wieść niedługą w słowie, muszę pierwéj uspokoić potrzeby tego ciała, o którém mówiliście chwilę temu. — Rycerz spojrzał obojętnie na stół, potém po krótkiém zastanowieniu zawołał ze zdumieniem. — Wiecie wielebny xięże, że dziś dzień piąty i że nasz gospodarz niewiem dla czego pogańską wam zastawił wieczerzę, okrasiwszy ją mięsiwami i ciastem tłustém. — Opat rozumiał może przyczynę tego zapomnienia. — Ryb niewiele mają w obecnéj chwili w tym zamku — rzekł głosem spokojnym — gospodarz widać zna pismo święte i wie, że kto w sprawie boskiéj służy ze znużeniem ciała, ten może ulżyć jego pokucie. *Magna est gratia Domini*, wyciągnął mnich, połykając łapczywie zwierzynę.

Stoigniew wielce do Ziemowita podobny, tylko ma jesz-

cze więcéj przebiegłości. W rozmowie z opatem przypomina chytrością dzikich Indyan z romansów Coopera; wyrazy jego, kiedy unika odpowiadać wprost na zapytania, zdają się prosto przepisane z Amerykańskiego pisarza. Miłosne sprawy Stoigniewa z Dobromirą nieobudzają żadnego zajęcia.

Autor powiada: „Dodać winniśmy, żeśmy charaktery Bolesława W., opata z Tyńca, Stoigniewa skreślili historycznie.“ Uroszczenie podobne wydaje się nam bezzasadne.

Kobiety i w téj powieści chybione. Biała Kniehini jak niewiadomo dla czego pokutnicą Chrześciańską została tak bez powodu rzuca grotę i z poganami się łączy; Dobromira znowu tułająca się po lasach ze złotym pierścieniem na palcu podobna jest do wszystkich błędnych panien w romansach rycerskich.

Autor pozwala sobie często uwag psychologicznych, wykłada charaktery, ale mu niesporo idzie. Mówi naprzykład o Bolesławie rozdrażnionym uporem Niemców w odmawianiu mu miana królewskiego:

W rzeczy saméj była to jedyna chwila dziejów tego niepospolitego człowieka, w któréj słabość niewłaściwa jego naturze zaległa mu na duszy. Tę chwilę doświadczają przechodnie wszyscy wielkiego umysłu ludzie, gdy po osnowaniu głębokich zamiarów pierwszy ruch im nadać się gotują — a niepewni ich skutku, szukając wsparcia po za okresem własnéj działalności, w pierwszym kroku swojego przedsięwzięcia niemogą się oprzeć pewnemu zwątpieniu o swoich siłach. Potém dopioro duch ich, wśród samego rozwijania się wypadków wyrasta wraz z nimi i łamiąc zwycięzko trudności, odzyskuje uczucie samodzielne swojéj mocy, które był stracił na chwilę.

Stylowi *Białéj Kniehini* zarzucimy to samo, cośmy zarzucili stylowi *Lechii;* powracają w nim co chwila nużące archaizmy i znać jeszcze więcéj zaniedbania.

W ogóle Pan W. B., który przed kilkoma laty w romansie *Partye* niewiele rokował nadziei, od tego czasu nieskończenie postąpił i wyszedł na znośnego pisarza.

Weźmy teraz pod rozbiór powieść obyczajową *Maleparte*. Autor Maleparty ma wiele zalet, wyobraźnię żywą przy ogledności na prawdopodobieństwo, pewną biegłość w nadaniu

rozmiarów, niewchodzimy w to czy ona zawyraźnie rzemiosła niezdradza, sposób łatwy i miły, w końcu styl, jeźli niezupełnie jędrny a przejrzysty, przynajmniéj dostatecznie poprawny; wszakże znajdujemy coś nieudolnego w jego zarysach, w charakterach jakie przedstawia spostrzegamy jakieś dalekie powinowactwo z charakterami znajomemi nam z romansów zwłaszcza francuzkich; a co najgorsza, jeśli rozgarniemy bujne liście myśli pospolitych i pospolitéj zdawkowéj moralności, dopatrzymy się zawsze w jego powieściach braku wszelkiego moralnego pewnika, korzeni obojętności oświeconéj i gorzkiego skeptycyzmu rozpuszczonych szeroko. Zawcześnie zaczął pisać P. Kraszewski i zawiele pisze, nie miał kiedy zastanowić się nad ludźmi, nie miał kiedy ich pokochać; talent swój zużywa prędzéj na szkodę jak na korzyść czytelników, których sobie zjednał, zaś odurzony wielką wziętością nieogląda się, ile drogi przebiegł i nieczuje może, że pomimo wszystkich wieńców i oklasków jest tylko w Polsce najświetniejszym wyobrazicielem przemysłowości literackiéj.

Bohater powieści, którą mamy przed sobą, Maleparta ma być osobą historyczną; w Lublinie nikt Maleparty niepamięta, zaginęło nawet wszelkie podanie, ale niebędziemy się z autorem o prawdziwość jego opowiadania sprzeczali, chętnie nawet przyznamy, że ma ono jakiś zawiesisty szlachecki pozór. Otóż Maleparta czyli Janek Paprocki wyszedł z opuszczonego dziecka na złodzieja i włóczęgę, kradnąc a żebrząc, podpalając czasem dostał się aż na podwórze trybunalskie w Lublinie, gdzie bezczelnością odpowiedzi ściągnął na siebie uwagę palestrantów. Mecenas Przepiórkowski ulitował się chłopaka, wziął go do siebie, uczył lat kilka i w końcu na Mecenasa wykierował. Uczciwy zawód otwierał się przed Jankiem, ale dawne skłonności w inną go pociągnęły stronę; i po śmierci swego dobrodzieja podjął się sprawy przeciw jego wdowie i z majątku ją wyzuł a raz zerwawszy z uczciwością powszechną, stał się patronem spraw diabelskich i wielką zyskał sobie wziętość. Mieszkała podówczas w Lublinie biedna wdowa Mrozicka, odepchnięta przez możną swoję rodzinę za to, że z miłości ubogo za mąż poszła; wdowa miała ładną córkę i ważne do procesu służyć mogące pa-

piery; Janek zwany już powszechnie Malepartą uwikłał nieszczęśliwe kobiety w sidła podrzędnéj zręczności, ożenił się z Rózią i za pomocą zabranych papierów do wielkiego doszedł majątku. Rózia spodziewała się, idąc za mąż, lepszego bytu dla matki, dla siebie spokojnéj choć smutnéj doli, znalazła niewolę, niedostatek i złe obejście się, to téż obie więdły wśród płaczu, dopóki wdowa nie umarła. Postracie matki nie miała już dosyć siły Rózia, żeby znosić niegodziwości męża i, przyjąwszy pomoc deputata Górskiego, urodziwego i majętnego pana, którego znała tylko z przechadzek pod swojemi oknami, do klasztoru uciekła. Maleparta zaląkł się o fortunę żony, a, gdy jéj przez poselstwa do powrotu nakłonić niezdołał, w rozdrażnieniu pobiegł do Górskiego, gdzie zelżony policzkiem, poszlubował straszną zemstę! W tym celu zasadził się ze zbójcami w lesie na deputata, ale przez omyłkę nie Górskiego, ale jego przyjaciela zabił. Lepiéj mu się powiodło w pojedynku, w którym zdradziecko nieprzyjaciela swego zranił, wszakże niepoprzestał na tém i podjąwszy się sprawy przeciw choremu, na zasadzie sfałszowanych przez siebie aktów wyzuł go z majątku i zmartwieniem dobił; zaś biedną Rózię, wywabiwszy z klasztoru, znowu zamknął jak w więzieniu. — Raz przyszła Maleparcie myśl szalona, postanowił spróbować, czy go żona nie pokocha: odepchnięty przez Rózię, złożył swoje afekta u nóg mieszczki Naści, którą na urągowisko żonie w dom wprowadził. Umarła w końcu biedna Rózia, wraz z jéj śmiercią zaszła zupełna zmiana w losach Maleparty. Przyszedł on był do ogromnego majątku, do dostatków, jakiemi tylko szczodrobliwość romansopisarzy obdzielać zwykła, z roku na rok gromadził pieniądze, czuł wszakże, że mu czegoś brakuje, zapragnął lepszego imienia u ludzi, ocknęła się w nim ambicva. Właśnie koło jednego z odległych kluczow należących do Maleparty mieszkał starosta Poraj, posiadacz nadrujnowanego zamku i podszarzanéj fortuny; dwór jego zdobiły dwie perły, dwie Panny na wydaniu podstarzała siostra i młoda ładna córka; Poraj potrzebował pieniędzy, mecenas związku z domem znakomitym: skoro się więc tylko zetknęli, rozpoczęli manewra uczone, w rodzaju owych zabawnych przebiegów Roberta Macaire i barona Wo-

romspire w sztuce francuzkiéj, która zostanie dla późniejszych czasów jako pomnik obojętnego usposobienia na złe i na dobre, epoki szczęściem już nie dzisiajszéj. — Skończyło się na tém, że Maleparta został zięciem starosty; tylko w dzień szlubu zjawienie się nad ołtarzem cieni osób, które pozabijał, albo w grób wtrącił, odjęło mu do tyla przytomność, że żonie opowiedział całe swoje życie i przez to w ręce się jéj oddał. Żona kazała mu jechać do Warszawy. Była to właśnie epoka Stanisława Augusta, epoka polska rejencyi, wszyscy mieli zawrót głowy, durzyli się, zagłuszali i niepatrzyli przed siebie; mało kto śmiał opierać się pędowi; łatwiéj przychodziło iść z wodą, jak przeciw wodzie, to też pani Paprocka z wodą poszła i w zepsuciu zepsuty świat prześcignęła. Długo mecenas zdawał się na nię nieuważać, raz atoli, zszedłszy żonę z Xciem Kaźmierzem, wydobył szabli i ranił oboje; ogłoszony przez żonę za waryata, zamknięty we własnym domu, ledwie po kilku miesiącach zdołał ujść z podwójnéj straży. Długo niesłychać było o Maleparcie, tymczasem żona przetrwoniła w Warszawie cały majątek. Po latach kilku, kiedy już nie wystarczało pieniędzy, trzeba się było zabrać z powrotem na wieś, wyjechała, niespodziewając się, że na drodze Maleparta ze zbójcami zasadzkę na nią zrobił. Wynędzniały mecenas na widok pojazdu żony strzelił za prędko, chybił i znowu się w jéj moc dostał. Z Porajowskiego zamku chcieli go uwolnić zbójcy, dawni towarzysze; napróżno; widok tych samych mar co podczas szlubu do miejsca go przykuł.

Kiedy powieść do tego punktu doprowadził P. Kraszewski, tchu mu zabrakło i niedziw: tyle wypadków, tyle zbrodni, charakterów tyle trudno było wpleść w ciąg jednego opowiadania tak, żeby uwagę i zajęcie czytelnika w całéj żywości utrzymać. Niewyrzucamy mu zmęczenia nieuchronnego, prędzéj pozwolimy sobie wyrzucić, że się pierwéj niepostrzegł, że już go dawno w drodze współczucie czytających odbiegło, i że się na niepotrzebne zakończenie z biedą wysilił.

Zbójcy, nie mogąc uprowadzić Maleparty, zostawili otwarte drzwi, przez nie mecenas już po dniu wyszedł na dzie-

dziniec, gdzie żonę spotkał. — Autor w téj chwili zwolnił ręce, która z przyciskiem same ostre zarysy kreśliła i zejście się dwojga małżonków na wzajemném skończyło się przebaczeniu. Wiele lat późniéj Maleparta odpokutowawszy ciężko za grzechy, umarł świątobliwie jako Pustelnik pod Lublinem, zaś pani Paprocka wyjechała do Paryża, gdzie na gilotynie w czasach terorryzmu zginęła.

Powieść zaczyna się od sceny trybunalskiéj, niby wstępu do właściwéj rzeczy; wśród tłumu palestrantów, klientów, ciekawych, przekupniów, żydów, pachołków i rajtarów, przechodzą deputaci i mecenasowie, spiesząc na sądy; jest tam życie, choć opis na rozmiar całego dzieła przydługi — W sieni znajdujemy ex-mecenasa Prozorowicza, wyborną postać. Jego tak wystawia autor:

Pod okapem wschodów w wytartym kontuszu niegdy granatowym i dawniéj bramowanym szychową plecionką siwy wywiędły, z białemi prawie oczyma, które pływają w zaczerwienionych powiekach, ściśnionemi usty, brudno siwym wąsem, wygoloną czupryną, w czarnych wykrzywionych butach, siedzi nad maleńkim stoliczkiem czerwonego niegdy sukna obrywkiem osłonionym ex-mecenas Prozorowicz, dziś zajmujący się pod wschodami trybunalskiemi przepisywaniem potrzebnych na prędce skryptur, pisaniem prożb dla szlachty i t. p. Dawniéj był to wzięty prawnik, ale żona zbyt piękna, nadto młoda, potem trunek zgubiły go na konsyderacyi i fortunce. Sierota na starości, straciwszy fertyczną małżonkę...., bez sposobu do życia, wyżebrał sobie kątek pod wschodami i póki mu jeszcze oczy służą pisze. A co napisze to przepije, i wytrzeźwiony pisze znowu, i napisawszy znowu pije. Pałestranci go nie wiem czemu szanują: on ich po staremu przywykłszy trochę z góry traktuje. Czasem kiedy nie ma co pisać, a stanie pod wschodami i patrzy na przechodzących, to mu się niejeden nawet z Deputowanych skłoni a niejeden z bundziucznych czerwononosych Mecenasów i Patronów, nisko choć niechętnie czapkuje. A Prozorowicz, ciszo pod nosem mruczy: — O! o! patrzcie no go! Sajetowy kontusz, delia na nim rysiami podbita, a jak aplikował u mnie niedawno, to mu Imość stare szarawary moje na Nowy Rok dawała i w nogi za to całował. — Na drugiego znowu: — I to wyszło na ludzi. Panie Jezu Chryste. A miało to głowę jak ceber wielką, a jak ceber wywrócony próżną. I patronu-

je to teraz. I dmie się! A kiedym repükę mu raz dał przygotować, to djabeł wie co pomatał, pokręcił, żem w nią kazał jemu samemu świecę potem oprawiać! —

P. Prozorowicz mruczał tak, póki go kto do stoliczka jego nieodwołał, tam jeżli szlachcic chciał dyktować i mięszać się w układ prośby, albo poprawiać starego wygę, gorzéj jeszcze nałajał. — Co to wasze myślicie, żeście lada jakiego, lada jakiego złapali skrybenta i możecie znać lepiéj odemnie ***jura**, consuetudines et formalitates!* Nie słyszeliście o Prozorowiczu? he? — Szlachcic się zacietrzewił a Prozorowicz nuż na niego: — Wiele tu jest Mecenasów, Prokuratorów, Patronów, wszystko to aplikowało przy mnie! Nie uczcież mnie wasze rozumu, albo nie to piszcie sobie sami!

Ex-mecenas przyjął na siebie obowiązki osób prologu komedyi starożytnéj, wyłożywszy wstępne dzieje, wprowadziwszy aktorów głównych, niknie z oczu. Szkoda, bośmy sie do niego przywiązali. — Autorowi za błąd musimy poczytać, że obudził za wielki interes dla figury niewchodzącéj w koło działające, która wszakże zajmuje scenę przez cały ciąg pierwszego tomu. Wielkie to jest zadanie umieć tak grupy odrysować żeby całe światło zebrać na osoby główne a podrzędniejsze względnie w cieniu choć z pewném stopniowaniem pozostawić; jeżli pisarz albo sztukmistrz na rzecz tę nie baczy, uwaga się rozstrzela, zajęcie rozdrabnia się i niknie.

Sam Maleparta nieźle nakreślony z początku, przesadę i brak prawdopodobieństwa późniéj dopiero w jego charakterze spostrzegamy. Mówi na wstępie autor:

Był to mężczyzna lat około trzydziestu i kilku, wysokiego wzrostu, barczysty, okryty wyszarzaną delią amarantową podbitą niedźwiadkami zrudziałemi, na nim kuntusz granatowy, wytarty z pół żupanikiem żółtym atłasowym wyblakłym, przepasany pasem starym, karabella maleńka, jelce u niéj obłamane, i znać dawno z pochew nie wyjmowana, bo się do skóry przykleiła. Na grubym karku pofałdowanym, głowa pochylona na piersi, czoło wypukłe żółtą skórą pokryte, pomarszczone, wyłysiałe; nos ostry, śpiczasty, cienki, usta wklęsłe i wązkie, marszczki pod oczyma, do koła st, na policzkach, na skroniach. Znać wielką jakąś myślą zajęty, bo niepatrzy na nic, na nikogo, ludzi potrąca, tłum rozbija i żwawo idzie. Znać droga mu wiadoma, bo się ni razu, wstępując na schody, nie za-

wahał, nie obejrzał. Za granatowym kontuszem plik papierów zapisanych, laska w ręku. Na widok jego palestra szeptać poczęła i wskazywać palcami, a wejrzenia nań rzucane miały w sobie coś bojaźliwego i wzgardliwego razem.

Są jeszcze dwa dobrze uchwycone odbicia znajomych staropolskich pierwotworów, starosta Poraj a szczególniéj Rotmistrz, zawadjaka, pasibrzuch, prawe ramie starosty. Tych staropolskich postaci coraz więcéj a coraz prawdziwiéj oddanych napotykamy w pisarzach naszych od czasu jak wyszły *Pamiątki Soplicy*, tak to jest prawdą, że każda doskonała kreacya ma w sobie siłę odradzania się w utworach innych — kobiety, jak zwykle w powieściach polskich, są najgorsze. Rózia zajmująca samemi nieszczęściami wcale niepociąga; przypomina oprócz tego i bladą dziewczynę i niewiemy wiele innych sióstr płaczliwéj pamięci.— Zuzanna za potwornie zła i właśnie dla tego, że ciągłą przesadę w jéj charakterze widzimy, więcéj nas odraża jak przestrasza albo moralnie uderza.

Używać w romansach cudowności jest wolno niezawodnie, ale kto mary z grobów wywodzi, powinien je jakąś tajemniczością otoczyć, jakąś mgłą przesłonić, powinien sam wierzyć w strachy. W Maleparcie apparycye robią nam wrażenie zimnéj niepotrzebnéj fantasmagoryi, bierze je autor niby historyczny szczegół, który się przytacza za innymi choć się go za bajkę uważa.

Przeciwko bezeceństwom, jakkolwiek *Maleparta* więcéj od nich wolny niżeli inne powieści P. Kraszewskiego, powstajemy jak najsilniéj. Po co rozszerzać się o Naści, którą dosyć było naszkicować, żeby odpowiedzieć wymaganiom przedmiotu? Gorzéj nas jeszcze od całego ustępu o mieszczce uderzyły romansowe schadzki pani Paprockiéj o ściasnę od związanego jako warjata męża. Wszystkie takie szkarady i niepodobne są do prawdy i niepotrzebne, a zdradzają powinowactwo z feiletonowém piśmiennictwem francuzkiem. Między szczegóły fałszywe policzymy jeczcze szlub Maleparty z Rózią, na razie, bez zapowiedzi, przez nastawionego Xiędza — Pierwszy lepszy zakrystjan powie P. Kraszewskiemu, że się tak nigdy nie dzieje.

Rozmowy w powieści są krótkie, ucięte i więcéj akcye posuwają iak rozwijają charaktery. Już to prawda, że nikt u nas nie umie rozmów w powieściach prowadzić, ależ P. Kraszewskiego nieraz i pod tym względem wyżéj jak w *Maleparcie* znajdywaliśmy.

Za epilog służy szkic terroryzmu francuzkiego, ustęp niewczesny zakrawający na wypracowanie szkolne, jakiego doświadczonemu autorowi niegodziło się napisać.

W ogóle *Malepartę* uważamy za mierną powieść i za jeden z mierniejszych utworów P. Kraszewskiego.

Powiedział już jakiś krytyk, że jak w *Maleparcie* uderza gorycz, obojętność, zwątpienie o ludziach i o świecie, tak przeciwnie w *Karolinie* znać wiarę we wszystko, co szlachetne i piękne, czuć żywą miłość dla ludzi. Prawdziwość téj uwagi zupełnie uznajemy: w rzeczy saméj, w powieści P. Mańkowskiego jest coś młodego, coś pociągającego, widać niezmyśloną prostotę.

Już pierwszy zarys skromnością a oględnością przynęca. Stefan młody ukrainiec, podróżujący bez celu przybywa do Neapolu; Stefan nadużył był trochę życia, ale niezatarł w sobie uczciwych instynktów. Z nieczynności szuka przygód i wikła się w romans z Karoliną córką rybaka, do któréj się całą siłą pierwszéj miłości przywięzuje. Obok Stefana nieśmiałego, uczuciowego, słabego trochę, postawił autor Henryka, młodzieńca bawiącego się na zabój, który, żeby towarzysza od rybaczki odciągnąć, chce go wplątać w intrygę z damą wielkiego świata, hiszpanką. Stefan pozostaje wierny ubogiéj dziewczynie; ale Hiszpanka trochę zaprędko i zagwałtownie miłością się dla jasnowłosego ukraińca unosi i uratowana z lekkiego życia, czystém uczuciem, które w sobie musi zamknąć, przyjmuje rolę spokojnego mentora, słucha zwierzeń, daje rady, nawet ciceronuje Stefanowi po Neapolu i okolicach. Dawny kochanek hiszpanki, chcąc się zemścić, prześladuje obie kobiety: Karolina jak kwiat wiosenny ugina się pod burzą i w burzy usycha; Hiszpanka znowu dotknięta w swojéj dobréj sławie, opuszcza świat nazawsze; odjeżdża do Hiszpanii, żeby się zamknąć w klasztorze.

Nie ma tu wielkiéj zawiłości, nie ma nadzwyczajnych wypadków, właściwie więc charaktery i krajobrazy pod uwagę wziąść nam wypada. Żadnego z charakterów, i to powiemy na pochwałę P. Mańkowskiego, nie wystawił ani zupełnie dobrym ani złym zupełnie, tak jest zawsze na świecie, gdzie, nie rysy wykończone nie dobitne kształty, ale odcienia i płaskorzeźby są prawdą; chodzi nam tu o charaktery ważniejsze, bo co się tyczy Mattea i jego pomocników, tych zawyraźnie autor z zastępu pospolitych zdrajców melodrammatycznych i romansowych pożyczył, żebyśmy go za ich zakamieniałość w złem odpowiedzialnym robić chcieli. Wszystkie osoby główne myślą, mówią, rzucają się jak ludzie koło nas, a żyją w sferze szlachetnych uczuć, wszystkie mniéj lub więcéj błądzą, każda jednak się podnosi, każda z łatwością do wiary w obowiązki powraca. Jest coś w téj pełnéj uczucia pobłażliwości, co wzmacnia umysł i ufności w cnotę dodaje, trzeba koniecznie usposobienia religijnego, żeby wybrać taki punkt zapatrywania się na świat; w rzeczy saméj w *Karolinie* od początku do końca panuje świadome czy nieświadome siebie w to niewchodzimy, ale żywe natchnienie.

Bohatera swojego tak nam przedstawia autor:

Był on Polakiem i Ukraińcem, miał imie Stefan, a wieku liczył zaledwie lat dwadzieścia; rodziców wcześnie utracił i wcześnie sam w świat rzucony, nie mając nic lepszego do roboty, wyjechał za granicę i to bez wielkiéj ochoty bez wielkiéj radości, sam nie wiedział dla czego. Póki żył wśród stepów, wśród téj ciszy uroczystéj pól Ukraińskich, spał umysł jego i serce spało, ani przyroda naddnieprzańska, ani echo dumek kozackich nie przemawiały do niego, i nie dziw, bo młodość w miastach spędził, na miejskich ją wiechach zmarnował; teraz, kiedy za granicę wyjechał i posłyszał tę wielką wrzawę spraw ludzkich, poczuł w sobie jakieś wyższe popędy, wyższém życiem żyć zapragnął. Choć głowę zupełnie zapuścił, miał dosyć serca żeby ocenić wszystko, co wielkie i piękne. Ale jakże samemu się kierować? Słyszał że wszędzie powtarzają mniéj więcéj te same nazwiska i na oślep wziął kilka książek do ręki, wybrał nie najlepiej ale nieśmiał sądzić tego, co przeczytał: dla tego, że się bał niższości w myślach i uczuciach zaczął przesadzać uniesieniem.

Wyborny to i prawdziwy obraz, szkoda, że w ciągu powieści nie zawsze go miał nasz pisarz przed oczyma, szkoda, że odcieniami zawczesnéj rozwagi, zbyt wytrawnego sądu o rzeczach, zepsuł w kilku miejscach pierwszą jasność kolorytu. Już to w *Karolinie* w ogólności więcéj jest rozsądku, więcéj zastanowienia osób działających jak w zwyczajnych na świecie stósunkach przywykliśmy słuchać; i, choć podobna krytyka dziwnie brzmi dla nas samych, choć rzadko zdarza się, żeby można było któremu romansopisarzowi umiarkowanie zarzucać, i P. Mańkowskiemu zganimy zawielką ogłędność, zwłaszcza, że nam pokazuje samych młodych ludzi, a młodzież, ile wiemy, niezwykła wysoko cenić zdania: *medium tenuere beati.*

Karolina delikatnie uchwycona: jest to jedna z tych czystych postaci o jakich marzy każdy młody, choć ich darmo potém w rzeczywistości szukać. Hiszpanka zanadto przypomina kobiety Balzaka, szczególniéj kiedy zrywa z pierwszym kochankiem i w scenie śniadania w *Sorrento*: jak na kobietę zajmującą już świat i jeszcze świat wielki, zaprędko zwierza się Stefanowi; do powinności wraca bez entuziazmu, bez przejścia, widzimy w niéj, jakby dwie kobiety, i dopiero od chwili, kiedy się dowiedziała, że Stefan inną kocha i wszelką słabość zwyciężyła w sobie, poznajemy rodzime natchnienie w pisarzu i pociągnięci prawdą w oddaniu szlachetnego charakteru, przywięzujemy się do pani Los Arcos. Przytoczymy rozmowę Hiszpanki ze starym przyjacielem, właśnie po zwierzeniach Stefana.

Hiszpanka póki kroki Stefana słyszała, zachowała swoję nieruchomość, ale, skoro wszystko ucichło, zaraz ją odwaga odstąpiła, upuściła głowę na poduszkę, zwiesiła ręce i poddała się całéj bezwładności zniechęcenia. „Mnie nie kocha! nie będzie nigdy kochał! myślała, czegoż mam żyć na świecie? Żeby to można umrzeć!“ Są chwile, w których się całe lata boleści cierpi, chwile zwątpienia o sobie i o ludziach, chwile ponuréj rospaczy; zewsząd się wtedy otwierają szerokie obszary nagiego smutku, i nieukojonego sieroctwa, rozum, wola, wszelki wpływ tracą i tak się w końcu serce rozboleje, że nie chce przestać cierpieć i jeszcze większéj boleści przyzywa. Pani Los Arcos była w podobnym stanie, i właśnie paroxyzm jéj cierpienia

dochodził do najwyższego stopnia, kiedy się drzwi otworzyły i wszedł Sigisbeo, który stanął jak wryty na widok przerażającéj zmiany w twarzy Hiszpanki. „Przez Boga! co to znaczy, zawołał: dziś widzę zupełnie chorą jesteś, czemuż nikt mię o tém nie uprzedził?" — Bo choroba moja trwa od godziny. — Zaraz biegnę po doktora. — Doktór mi nic niepomoże. — Chyba jakie nieszczęście spadło na ciebie. — O wielkie i nienagrodzone nieszczęście; Stefan kocha inną.— Przecież dawniéj przeczuwałaś już to.—Wtedy miałam tylko domysł i czuję, żem się jeszcze spodziewała, dzisiaj jest pewność; moja nadzieja zwiędła.".... „Kiedy nie masz nadziei, to z nim zerwać trzeba, a przynajmniéj przestać go zupełnie widywać. — Złe lekarstwo na prawdziwe uczucie; ja innego chwycę się środka: zamknę w sobie moję miłość tak, żeby jéj nigdy dojrzeć nie mógł, a pod pokrywą przyjaźni, zajmę się jego głową i sercem; przed oczyma mu otworzę szérsze widnokręgi, tchnę w serce jego skłonność do poważnych zajęć, myśl jego, do lotu wyższego nastroję i obudzę w nim tę szlachetną dumę, która go do wyższych czynów poprowadzi. — Zawsze jesteś ta sama; ze wszystkich okoliczności twego życia, z każdego nawet upadku wywijasz szlachetne pomysły. Aniele o złamanych skrzydłach! choć już dziś latać nie możesz, z twarzy ci nadziemską odgadnąć snadno ojczyznę."

Henryk jest prawdziwy Warszawianin, lekki, znarowiony, zapominający o wszelkich powinnościach, ale w gruncie zdolny zrozumieć każdą myśl uczciwą, i sercem nie zamkniętém przed smutkami i nieszczęściami cudzemi. Margrabia Pascaale nie bardzo nam do smaku przypada, dla tego szczególniéj, że mu jako Włochowi, autor, idąc ubitym z téj strony Alp torem, każe koniecznie żyć zemstą i zdradą oddychać. Daleko lepiéj pojął P. Mańkowski starego Wolterianina Rigenę.

„Wiesz Rigeno, mówi Pani Los Arcos, żem się dzisiaj tak rozapostołowała, żem gotowa i ciebie chcieć nawrócić. — Mnie? Niepodobna, piękna pani! Ja jestem z tego pokolenia, co się ze wszystkiego śmiało i wszystko na świecie waliło. Nawrócić przyjaciela i współzawodnika arcybiskupa tarenckiego, owego dowcipnego nad dowcipnymi Capace — Latro, to olbrzymie przedsięwzięcie. — Kiedyś tutaj w lepszém znalazłam cię usposobieniu. Mówiłeś o twojém życiu nieużyteczném, samolubném i o szlachetniejszych popędach, jakie w so-

bie czujesz. Wierzaj mi, twoje samolubstwo z braku religii pochodziło, a lepsze instynkta pewnie coś religijnego w sobie mają. — Nie mówmy o tém. Ja jak księdza zobaczę to się zżymam, a z flaszeczki Śgo Januarego tylem się nażartował, że, choćby mnie Śty Piotr chciał puścić do raju, to święty Januāry nigdy na to nie pozwoli. Biedni wy ludzie! znowu was bałamącą zabobonami i wymysłami. Czytajcie Woltera, czytajcie Diderota a poznacie, jak się religie tworzą" — i mruczał pod nosem:

Les prêtres ne sont pas ce qu'un vain peuple pense
Notre crédulité fait toute leur science.

— Żebyś mniéj był czytał Woltera, odparła pani Los Arcos, a więcéj się serca swojego radził, nawetbyś z flaszeczki Świętego Januarego nie żartował.

Koniec najbardziéj nam się z całéj powieści podobał; nie można bez wzruszenia czytać opisów śmierci Karoliny i odjazdu Hiszpanki, jest tam uczucie i prostota w uczuciu, jest miara przy żywości kolorytu i wielka delikatność w całym sposobie. Że niepodobna kilkunastu ostatnich stronnic przepisać, nic z tych dwóch scen tutaj nie przytoczymy.

Opisy okolic Neapolu niepoślednie miejsce w *Karolinie* zajmują, stanowią one dla akcyi tło ciągle wabiące oczy i własnemi barwami żyjące, tło prędzéj za jaskrawe, jak za blade. Nie możemy tylko pochwalić ustępów o Pompei, Herculanum, golfie Bai i o Wezuwiuszu; znać, że autor wszystkie te miejsca zwiedził, znać, że uczuł ich piękności; wszakże, kiedy już chciał iść w ślady *Korynny*, pani de Staël, powinien był z większém uszanowaniem, z sumienniejszą pracą poruszać wspomnienia historyczne i dotykać zadań naukowych, tak jak są rozdziały o artystycznych wycieczkach Hiszpanki ze Stefanem, zaledwie się w wartości opowiadaniom w *przewodnikach podróży* drugiego rzędu równają.

Za jeden z ładnych szkiców uważamy następujący:

Kto zdoła opisać widok, jaki oczy Stefana z balkonu klasztornego u Śgo. Marcina uderzył? Pod nogami miasto z prostemi liniami ulic, daléj płaszczyzna z rozsianemi domkami aż do stóp Wezuwiusza; od Wezuwiusza góry jakby ramieniem zatokę całą od strony południowéj obejmujące, wyspa *Capri* pośród morza, od północy bli-

skie wzgórze z pałacem *Capo di Monte* i ogrodami, wyższe *Vomero* lasem zarosłe, z klasztorem w środku lasu, daléj *Posilippo*, a z za niego przezierające przylądek Mizeński i wyspa *Ischia*, za tém wszystkiém obszar bez końca zlewający się z krańcami widnokręgu. Słońce mocno świeciło, morze wydawało się gładkie jak szyba, a było pusto, łodzie drzémały przy brzegu, okręta w bandery i wstęgi przybrane spokojnie kołysały się w porcie; jeden tylko okręt zapóźniony na wielkie święto z rozpiętemi wszystkiemi żaglami wysuwał się z za *Capri* i zdawał się ze wstydu coprędzéj do Neapolu pospieszać. Powietrze rozbrzmiewało brzękiem dzwonów, dzwoniono na południe we wszystkich kościołach, i ten głos uroczysty po całéj okolicy wesołe *alleluja* roznosił. U Kartuzów w ogrodzie pękały właśnie drzewa, migdały, zaczynały się wdzięczyć różowym kwiatem, sękata figa leniwy liść puszczała i krzywą gałęzią wdzierała się między żelazne kraty balkonu. Stefan szczegółów nie widział, tylko ta spokojność morza, ta rozkwiecająca się wiosna, coraz go większéj nabawiały rzewności i miał ochotę płakać . . . .

Cała powieść jest nierówno napisana, raz znajdujemy sceny wykończone w najdelikatniejszych szczegółach, kiedy indziéj z zadziwieniem spotykamy ślady zaniedbania i pospiechu, to znowu uderza nas, że styl, który w większéj części dostatecznie jest poprawny, że nie powiemy wabny, prawie wymuskany, kilka razy spada na szczebel rubaszności kozackiéj. Cóżkolwiekbądź *Karolinę* czyta się z przyjémnością, bez przymusu, bez unużenia, zbierając zasób miłych wrażeń od początku do końca. P. Wacław Mańkowski piękne sobie między naszymi romansopisarzami zdobył miejsce, i to w tém zaszczytniejszy sposób, że żadnego poczciwego uczucia prawdziwemu lub domniémanemu smakowi czytających niepoświęcił.

Miasta, Góry i doliny, są dziełem kobiety. Jak tu zapomnieć wszelkiéj grzeczności i w sprawiedliwą się uzbroić surowość? *Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka*, woła Krasicki, tak i krytyka robić powinna, zwłaszcza krytyka naszych czasów, kiedy pisać w ojczystym języku jest już powszednią zasługą u kobiet, kiedy niwę piśmiennictwa polskiego najechały, grzeczniéj powiemy zakwieciły amazonki literackie w tak wielkiéj liczbie, że jakiś kalendarzyk

kilka stronnic na spisanie samych nazwisk autorek poświęcić musiał. Zresztą pani R. nie pierwszy już raz w szranki wstępuje, dla jéj dzieła o Francyi, któremu my bardzobyśmy wiele do zarzucenia mieli, krytyka się niezmiernie pokazała łaskawą. niezrazimy więc doświadczonéj autorki, gdy się, jeźli niezupełnie twardymi, przynajmniéj twardszymi od innych recenzentów pokażemy.

Wspomnienia z podróży są jedną z chorób literackich naszego czasu; dawniéj podróżowano i opisywano podróże, żeby bogacić naukę ogólną, któréj podróżopisarstwo oddzielną gałęź stanowiło: dziś nie brak zapewne poważnych ludzi cierpliwie a skrzętnie rzetelne wiadomości po wszystkich stronach świata gromadzących, Humboldt, Ross, Dumont d'Urville, Texier, Boré, Berghaus, Koch, chociaż łatwiejsze znaleźli drogi nieustępują niezawodnie autorom wielkich odkryć w wiekach ubiegłych; ale na jeden opis naukowéj podróży ileż wychodzi książek uklejonych przez naśladowców lady Morgan, Mistris Trollope, Xcia Puekler—Muskau, pani Hahn—Hahn, Kohla, Jakóba Arago i Alexandra Dumasa? Mnożą się pisarze z rzemiosła albo pisarze z nudów, jedni nie ruszają się z miejsca i tylko w wyobraźni dalekie wycieczki robią, inni podróżują rzeczywiście, wszakże jeżdżą tylko ubitemi gościńcami po świecie, bez dostatecznego przygotowania, bez zapału do czegokolwiekbądź, bez celu; w braku wszelkiéj rzeczy, któraby im podstawę moralną dać mogła dla umysłu, wszystkie wrażenia, spostrzeżenia wszystkie odnoszą do siebie, do swoich uprzedzeń i słabości, własną osobą zapełniając przestrzeń tak, że świat cały staje się sceną, na któréj nam siebie tylko pokazują; cóż powiedzieć o lekkomyślności, z jaką zwykle o najpoważniejszych zadaniach wyrokują, cóż o niewstrzemięźliwości, z jaką dotykają najwznioślejszych przedmiotów? Długoby się było rozwodzić, i podobno dziś jeszcze napróżno. My pocieszamy się nadzieją, że jak wszelkie nadużycia, tak i encyklopedie, feiletony francuzkie i rozmaite *wrażenia a wspomnienia* wywołają oddziałanie, którego niecierpliwie wyglądamy.

Pani R. w swoich *miastach*, *górach i dolinach* więcéj nam daje powieści jak opisów podróży; że jednak niezdoła-

ła się oprzeć pociągowi kreślenia obrazów miejsc wybornie znanych, musimy się bliżéj jéj szkicom przypatrzyć.

Opowiadanie przejażdżki w Karpaty i pobytu w Szczawnicach przeczytaliśmy z zajęciem. Wszyscy powinniśmy zwiedzać kraj nasz, wszyscy mówić o jego pięknościach tak mało zwykle cenionych, że jeden z najserdeczniejszych wieszczów narodowych miał prawo zapytać się:

A czy znasz ty bracie młody
Twoje ziemie, twoje wody?

Powtarzajmy ile tchu stanie, że nasze Karpaty są równie piękne jak Alpy i Pireneje, i że niegodzi się Polakom obcych krajów zwiedzać dopóki pielgrzymki po swoim nieodprawili. Pani R. ujęła nas tém, że jeździła do wód do Szczawnic i pokochała nasze polskie góry, a jednak choć z żalem musimy jéj wyrzucić przesadzony sposób, w jaki swoje uniesienia wystawia. Pisze naprzykład o noclegu u Morskiego Oka:

Zorza swym czerwoniawym nie pewnym wzrokiem, przez szpary okiennicy zaglądać do nas poczęła, ja też co prędzéj pobiegłam ją powitać w tym nowym zupełnie mi nieznanym, w tym tylu trudami okupionym świecie. Wybiegłam, spojrzałam i padłam na kolana na twarz... oczy obu rękami przykryłam, jakbym oblicze Boga a przynajmniéj tron jego ujrzała... Czułam, żem niegodna podziwiać téj wielkości, czułam serce uczuciami brzemienne, pierś wzdęta o mało pod niemi się nierozpękła, a myśl bezsilna, powikłana nieusiłowała nawet objąć tych kroci gwałtownych wrażeń, co się w duszę tłoczyły.

i w przypisku:

Nie ma pióra, nie ma słów do oddania pierwszego wrażenia tego widoku, przed którym na kolana upadłam. W liście com z tamtąd pisała tak się ile pomnę wyrażam: „Trzebaby ze skrzydła tych gór Jeniusza pióro wyrwać i zmaczać w słońca promieniach, by ci dać odległe wyobrażenie, co się we mnie dzieje, co to za miejsce, jakie wrażenie sprawia.“

daléj znowu:

Czarny staw jest stolicą śmierci. Ona tam nad wszystkiém swe panowanie szerzy, w około siebie szeroki rozpostarła całun. Tam wszelka wegetacya ustała, żadnego niedojrzysz w powietrzu ptaszka, żadnego żywiołu na ziemi, żadnego płazu w wodzie. Wszystko martwe,

ponure, żałobne a najbardziéj sam staw, którego woda tak jest czarna jakby kirem pokryta lub go pokrywała. Nieustające wichry swém przeraźliwém wyciem jedynie przerywają wieczne tam milczenie burzą chyba wstrząśnione; a ten jednostajny ich jęk jakby jakiś śpiew pośmiertny zdaje się hymnem umyślnie dlań utworzonym. Wszystko tam w harmonii, wszystko jednostajnie o śmierci przemawia, barwę jéj nosi. Duży krzyż żelazny, czarny nad czarnym stawem wzniesiony doskonale ją dopełnia, a kilka żałobnych akonitów tak ciemnych jakby na grobach wzrosły, kołyszą ciągle swe smutne czoła pod wiatrem co je ugina. Ten krzyż czarny jedynèm jest tam dziełem człowieka, jedynym jego śladem. Ten kwiat posępny z trucizną na dnie kielicha swego jedyną rośliną jedyną ozdobą téj srogiéj natury. Przerażone oko spogląda, czy w pośród żałosnéj tego stawu powierzchni, wpośród tych czarnych fali wiatrem miotanych i wzdymających się nie ujrzy katafalku, trumny i gromnic.... ucho szuka w jękach powietrza rytmu jakiego requiem.... wszystkoby tam naturalném a niemal potrzebnem się wydało.... śpiew skowronka, wesołe skoki polnego konika, nieznośną byłyby tam sprzecznością.

Przytoczyliśmy aż trzy ustępy nie tyle, żeby pani R. przyganić, jak w myśli przestrzeżenia innych; podobne *rozbujałe flukty* najsnadniejsze są do naśladowania, a i tak mało kto u nas zdaje się wiedzieć, że najpierwszą ozdobą stylu jest prostota. Dopełniwszy przykrego obowiązku ochoczéj bierzemy się do wypisania następujących kilku pięknych wierszy o Krakowie:

A cóż, gdy do Katedry zamkowéj wejdę? . . gdy, nie bacząc na wszystkie nie potrzebne, jéj progów niegodne teraźniejsze dodatki, samą przeszłością wskróś przejęta padnę przed świętemi zwłokami, przed świętą naszego patrona trumną, lub przed tym wielkim ołtarzem, co tyle pamięta historycznych wypadków, na tylu stoi popiołach! przed którym tyle przelało się wieków, tyle się znakomitych głów ugięło... O nieraz, gdy w téj świątyni słyszałam słowa wiary i nadziei, lecz ciasnym zakresem codziennego skrępowane życia, do domowych zastósowane potrzeb, te słowa acz światu potrzebne, podziwiane i dla innych piękne, tak dla mnie były niedostateczne, tak zdawały się poziome dla méj duszy, która czegoś nadziemskiego wówczas żądała, jakby jakiegoś czekała proroctwa.

Nie jedne takie i prawdziwém i dobrze wyrażoném uczuciem zalecające się miejsce przywieśćbyśmy jeszcze mogli.

Opisy miast zagranicznych jak Marienbadu, Monachium, Wenecyi nie wiele mają blasku a w dokładności najniedokładniejszym nawet *przewodnikom podróżnych* pierwszeństwa ustąpić muszą. W porównaniu Wenecyi z Marienbadem jest coś naciąganego, jest brak smaku; w rzeczach znowu sztuki wymagamy dojrzalszych zdań jak następujące:

Pare jest pięknych Ruysdalów, *pisze od niechcenia pani R. wspominając o wielkich salach galeryi Monachijskiéj*, kilka prześlicznych uliczników Murilla, widok Monachium Canalettego, pare marynarek Verneta, Madona Guido Reniego i dwie familie święte, jedna Tycjana, druga Rafaela. Z resztą niepomnę, żeby mię tam co zachwyciło.

i gdzieindziéj:

Za jedno Wniebowzięcie N. Panny Tycjana (w Wenecyi) możnaby śmiało oddać dwie trzecie obfitéj galeryi Monachium.

Niegodzi się wydawać takiego lekkiego sądu o zbiorze obrazów, który się szczyci (niewspominamy o bogactwach małych pokoików; które choć w kilku wyrazach lepiéj pani R. oceniła) Apostołami Alberta Dürera, trzema pięknemi Peruginami, Świętą rodziną Fra Bartolommea, dwoma najlepszéj maniery rodzinami Andrea del Sarto, kilku Rafaelami, a szczególniéj Madoną wielbiącą Chrystusa F. Francyi.

Z dwóch niemających związku z treścią książki a ważniejszych opowiadań epizodycznych pierwsze o dworze Cesarzowéj Józefiny w Malmaison jest pomimo drobiazgowości szczegółów zajmujące, drugie mające przedstawiać cały rys historyi polskiéj, w rzeczy bezładne, nastrzępione allegoryami, przymuszoną humorystycznością zaprawne, męczy czytelnika, gniewa go czasem i wcale umysłu niezaspokoja. Pani R., mniéj bacząc na nieuchronne w rzeczach ludzkich koleje złego i dobrego a biorąc często skutek za przyczynę, wszystkie nieszczęścia kraju rozdwojeniom przypisuje. Brak jéj głębszego wpatrzenia się w dzieje, jakiegoś wyższego stanowiska, ale, że szczerze niedolę narodową czuje, sieje po drodze niejedną użyteczną uwagę. Przytoczymy kilka zdań po-

spolitych wprawdzie ale niemniéj sprawiedliwych i dziś jeszcze dających się zastósować.

Jedyna pamiątka jaką August III (? !) po sobie zostawił jest rozwiązłość obyczajów, gorsząca na złe obojętność i wyuzdany zbytek ... Kiedy powietrze tak nieczystemi przesiąkłe wyziewy, burza niedaleka, wstrząśnienia wielkiego spodziewać się nawet pragnąć trzeba. Wstrząśnienie takie może być zbawienne lub zabójcze. Zbawienne, gdy burza roztrąci się o jaką większą od siebie siłę, gdy wpośród padających piorunów znajdzie się poświęcenie bez granic. Ale siła i poświęcenie tam się tylko znajdują, gdzie jest jedność, gdzie kwitną obywatelskie cnoty, a na anarchii i niezgody błotach takie nie rodzą się kwiaty. (!!) Młodzież dla oświaty a raczéj dla ogłady za granicę wysyłana, wracała z pogardą dla kraju, wstydziła się ojczystych zwyczajów, ubiegała się za obcemi nowościami, przejmowała je jak mogła. Z takiéj młodzieży niemożna się spodziewać obywateli ani Spartańskich cnót oczekiwać ... Niemiec, Francuz, Anglik, Włoch są zawsze sami sobą i niestarają się za co innego uchodzić ... U nas każdy jakby się wstydził rodu swego, przeistacza się jak może w Francuza, Anglika i t d. Kto się tak narodu swego zarzeka, ten prawdziwéj narodowości nie rozumie, nie miłuje. Kto szydzi ze starych jego zwyczajów, w niepamięć je puszcza, obcych chwytając się nowości, ten sam własne domowe bogi depce. Komu wszystko w kraju nie miłe, ten o tyle tylko poświęci się dla niego, o ile to mu będzie do twarzy lub do jakiéj rachuby przypadnie.

Główne miejsce w książce pani R. zajmują cztéry powieści; najlepsza ostatnia ***Dziennik Pana Władysława K.*** szczególniéj w opisach lat młodych bohatera. Podkomorzy, Podkomorzyna, Darlet francuz wybornie uchwyceni. Sam pan Władysław interesuje nas wśród rozlicznych swoich przygód właśnie dla tego, że rozmaicie, raz lepiéj, drugi raz gorzéj z nich wychodzi. — W powieści ***Karól i Marya*** widzimy dwóch przyjaciół, których los, jakby igraszkę sobie z ich uczuć robiąc, dopóty stawia naprzeciw siebie, dopóki jeden z ręki drugiego niezginie; wszystko to i niema zalety prawdopodobieństwa i bez prostoty opowiedziane. Bardziéj zajmująca jest historya biednéj Helki w Tyrolu uwiedzionéj i opuszczonéj przez obcego przychodnia. Powieść ***Hrabina z za kulis***

o dawnéj tancerce, która, zostawszy wdową po bogaczu, pokochała pasierba, zawojowała go aż do podłości i długie lata trzymała w swoich więzach, wcale niezła; tylko dziwi nas w autorce chęć obudzenia współuczucia dla nędznego młodzieńca; słabość w nikczemności nie ma w sobie nic interesującego. Z powodu małżeństw z baletniczkami mówi Pani R.

Cóż można oczekiwać od młodéj dziewczyny pozbawionéj matczynego oka od 10go lub 12go roku, rzuconéj w taki świat, jakim są dramatyczne szkoły? Jakże rozsądnie tem żądać skromności, gdzie w stroju, w mowie, w postawach sama ich sztuka ją potępia? Jak tam prostoty szukać, gdzie na doskonalszém udawaniu polega byt, sława, przyszłość? A gdzie się od udawania zaczyna, tam się najczęściéj na przewrotności kończy. Dodać do tego brak religijnych zasad — bo w téj szkole niesłyszałam, żeby ich uczono — konieczność świetnienia wdziękami i strojem, obok niemożności w początkowym zawodzie godziwym zarabiania nań sposobem. Ta sama emulacya codziennie przez nauczycieli podniecana, ta późniéj potrzeba i żądza oklasków co rozwija talent, rodzi natchnienie przyznasz pan, iż, jeżeli to wszystko tworzy artystkę, gubi zarazem kobietę. Nie potępiając ich téż bynajmniéj (bo, gdyby kto był do potępienia, to matki, co takiemu zawodowi poświęcają swe córki), znajduję iż baletniczki trzeba zostawiać wyłącznie teatrowi ... nie odwracać się od nich, ale je za przyjaciółki nie brać.

Tok opowiadania pani R. jest łatwy, często swobodny, zbliża się do rozmowy towarzyskiéj; francuzką barwę znać wszędzie a bodaj czy nie sposób francuzki tylko do podobnego rodzaju dzieł przystaje. Styl w ogóle bardzo zaniedbany znaleźliśmy, właściwie, *w Miastach, Górach i Dolinach,* nie ma żadnego stylu; proste gramatyczne błędy co chwila napotykać można.

Musimy jeszcze dotknąć najdrażliwszego przedmiotu, strony osobistéj w książce pani R.; kilka ogólnych uwag najlepiéj pokaże nasz sposób widzenia rzeczy. Wielkiéj części piszących brak dzisiaj téj wstydliwości, téj skromności, które zawsze powinnyby wstrzymać od zaprzątania ludzi własnemi sprawami i osobą własną. Przypisać to może wypada wy-

łącznie wsobnemu kierunkowi, jaki filozofia przybrała, bąć co bąć, z jednéj strony naroiło się *pamiętników*, z drugiéj niechrześciański nałóg odnoszenia wszystkiego do siebie zakorzenił się powszechnie. Zapewne psychologiczne spostrzeżenia nad wszelkiemi zjawiskami wewnętrznemi mają wielką wagę i dla nauki oderwanéj i dla nauki życia, ale czyż wszyscy te spostrzeżenia z zupełną robią szczerością, czyż przeciwnie każdy nie szuka jakby się zręczniéj udrapować, na wyższe wzmódz się szczudła i drobnym swoim słabościom szlachetne pobudki naznaczyć? Nie widzimy, żeby kto brał za wzór Ś. Augustyna, nawet nieco bezwstydnéj otwartości Jana Jakóba Rousseau nikt nienaśladuje i większa część piszących wedle dowcipnego wyrażenia jednego z krytyków polskich kanonizuje się za życia, a, jeśli znowu pisarz jaki zawyraźnie, zagłośno nabroił, to przynajmniéj nagość swoją bajrońskim płaszczem zakrywa. Wprawdzie próżność pisarska nie jest wyłącznie chorobą naszych czasów, istniała ona zawsze, temu nieprzeczymy, utrzymujemy tylko, że teraz swobodniéj rozwielmożyła się niż kiedy i że, co dawniéj brała za przedmiot sam utwór, dziś się wyłączniéj osoby autora uczepiła. Co sie tyczy dzieła *Miasta, Góry i Doliny,* póki pani R. zwierza się nam z finansowych i innych kłopotów więcéj się dziwimy jak gorszymy; póki na smutki swoje narzeka, mamy co chwila ochotę przypomnieć jéj, że wszelkie istotne boleści o tyle są wielkie i święte, o ile zamknięte w sercu, że pokazane światu a wśród obojętności ludzkiéj maleją, i do porównania dają prawo, ale i w tym razie niewidzimy powodu do nagany; dopiero kiedy w nieszczęsném zaślepieniu pozwala sobie zjadliwéj satyry na miasto całe, kiedy się wysila na skarykaturowanie, na wyszydzenie całego towarzystwa, żeby je rzucić pod stopy nieubłaganéj w zemście miłości własnéj, czujemy obowiązek skarcić podobne zapomnienie wszelkiéj godności pisarskiéj i osobistéj. Niewchodzimy w to, czy pani R. była kiedy czy nie ofiiarą plotek, drobnych intryg i wyrafinowanéj niechęci, niewchodzimy, kto pierwszy dał powód do obrazy, to wszystko do nas nienależy; ale uważamy sobie za powinność strzedz pilnie, żeby literackie zapasy nie zmieniały się na walkę obelg i potwarzy, żeby każdy pi-

szący wszelką przyzwoitość w pisaniu zachowywał i niebrał się do pióra jedynie dla zemszczenia krzywdy osobistéj. Pani R, która ciągle o smutkach swoich mówi, powinna wiedzieć, że tylko takie smutki mają prawo do współczucia poczciwych ludzi, które do większéj miłości, do pobłażania większego pobudzają. Niespodziewamy się, żeby ktokolwiek pochwalił pani R. ustęp o Lachitowie; bodajby sumienna nagana bezstronnéj krytyki zdołała ją sprowadzić z drogi, na któréj w każdym razie tylko szkodę piśmiennictwu polskiemu przynieść może.

Pod tytułem *Ramoty i Ramotki* wyszły dwa tomy powieści i artykułów znajomych nam po największéj części *z Biblioteki Warszawskiéj.* Na wstępie P. Au. Wi. dzieli krytykę literacką na podmiotową która *traktuje o formie, o akcyi, o tle, o kolorycie, o romantyzmie, o klassycyzmie, o węzlach, o intrydze i o effekcie* i przedmiotową która *bada ducha, śledzi logikę i szuka celu książki* i podmiotową lekce waży, zaś prawdziwie nie wiemy, jak z owego przedmiotowego stanowiska ocenić *Ramoty*, które, jeśli mają na widoku chłostać zepsucie i przywary, to tylko zewnętrznéj dotykają skorupy, związkiem się wielkim nie zalecają a nie zdradzają innego celu, jak chyba, żeby rubaszną szlachtę po jednym i drugim kielichu węgrzyna do głośnego śmiechu pobudzać.

Pan W. ma niby doskonale malować obyczaje szlachty wiejskiéj, niezajrzymy mu nabytéj wziętości; ale sobie po naszemu zalety jego szkiców pozwolimy wytłómaczyć. W każdém widomém oddaniu jakiegokolwiek przedmiotu być może podwójna względna prawda a raczéj dwie strony prawdy; jedna, którąbyśmy nazwali idealną, druga grubo zmysłowa; rzeczywistość nie znajduje się ani w jednéj ani w drugiéj ostateczności, wszakże z dwóch wspomnionych jednostronnych kierunków pierwszy ma nieskończoną wyższość, bo jest wszelkiéj nieśmiertelnéj piękności bliższy, drugi dotyka ostatnich krańców bezdusznéj materyi. W sztuce różnicę dwóch przeciwieństw wyobrażają nam szkoła Ombryjska Włoska i szkoła Flamandzka, do któréj, że niemamy wielkiego pociągu, otwarcie przyznajemy. P. W. jest Flamandczykiem między powieściopisarzami polskimi, tylko rubaszną, szorstką stronę obyczajów uchwycił; nie szukajmy w jego utworach ludzi

wielkich pojęć, wielkiego poświęcenia, ludzi wypróbowanych cierpieniami, poważnych sposobem życia lub nauką; w szkicach, jakie mamy przed oczyma napotykamy tylko postaci podrzędne, zręczność posuwające do matactwa, dowcip do grubiaństwa, śmieszność do karykatury, uczucie do parodyi. Przytoczymy jeden ustęp, który sposób autora najlepiéj da poznać.

Spienionemi końmi, tumanem kurzu okryty, w pól godziny stanąłem w najbliższéj mieścinie. Na cudowną przez morze czerwone przeprawę, na wszystkie swiętości Talmudu, na przyjście Messyasza, zaklinałem bogatego Izraelitę o pożyczenie pieniędzy; lecz są okropne chwile w kolejach życia ludzkiego, gdzie nic w świecie nie jest zdolném złamać upartego losu. W księdze moich przeznaczeń wyrytém było: „Nagelknopf, bryla lodu z sercem granitu, dzisiaj nie pożyczy pieniędzy." Niemal w odrętwieniu rzuciłem się na krzesło. Obraz mojej zagrody, niewinne owieczki, bydełko, żydzi, komornik, wyrok łączyły się w jedno widzenie, które z serca do duszy, z duszy do serca biegało; a mózg ta zachwalona przedmiotowość, ów mózg w najcięższym razie odbieżał. Nagle drzwi się rozwarły; kilkunastu z obywateli, znajomych sąsiadów, w czarnych frakach w białe obszytych taśmy w najserdeczniejsze pochwycili mnie uściski. — Oj! oj! żebro mi zgnieciesz — Guciu! jedyny, drogi, ukochany Guciu! — Uryańska perełko! ciebie aniołku! ciebie klejnociku szukamy! Nagelknopf sześć butelek z 1811 roku, tego, cośmy to w ostatni wtorek pili — wygraliśmy! wygraliśmy! wrzeszczał jeden przed drugim, a za nim na tyle pieszczot odpowiedzieć mogłem, już rzeczony węgrzyn płynął przez moje usta. — Trzeba ci Guciu wiedzieć, że Jerzy Błażéj Przylewa w przejeździe przez L. gwałtownie zasłabł, a zawczoraj nad ranem Bogu ducha oddał. Jak nas tu widzisz najbliższi krewni i spadkobiercy zjechaliśmy na pogrzeb i prócz księdza gwardyana, który żałobne mieć będzie kazanie, niemogliśmy z obywateli w okolicy nikogo znaleść, coby mówkę pogrzebową obywatelską umiał powiedzieć. Ciebie Bóg w przykréj zesłał potrzebie .... W życiu mojém niesłyszałem, że Nalewa czy Przylewa żył na świecie — .... Bój się Boga duszko, jakżeż chcesz, aby go bez mówki, jakby jakiego żebraka pochować; a toćże on czterykroć gotówki zostawił. Coby też to świat na takie *scandalum* powiedział? Jeżeli Polcię kochasz, nie rób trudności. Tu idzie o honor obywatelski — Rozumiałem że to są żarty. Wiedzcież

więc, że za godzinę Szczekota na rzecz Lejzura wszystkie moje ruchomości sprzedaje . . . — Guciu, my Leizura z duszą i z ciałem zapłacimy . . . — Stało się, cóż z wami robić! Negelknopf większego szkła! Czcigodni i najszlachetniejsi bracia wasze zdrowie! Cieniom nieodżałowanéj pamięci Jerzego Błażeja Przylewy — i palnąłem potężny kufel złotego płynu. — Walny z niego chłopiec. W twoje ręce Auguście! „Sandomierskie kochajmy się" — Jeszcześmy szostéj nieskończyli butelki, gdy chorągwie cechów, światła bractw, dom Nagelknopfa mijały. — Ale jakżeż ja w zielonym surducie z czerwoném na szyi wiązaniem? Bartłomieju biegnij co żywo do pana podsędka, proś go na miłosierdzie Boskie o czarny frak. Hej Bartłomieju i o czarną chustkę i o rękawiczki. Faktor (a było ich kilku na pogotowiu ot 5 złt! ruszaj i jeden, 2 lub 3 łokcie krepy! — Jakiego koloru? — Czarnéj ośle nie różowéj — Z przeproszeniem bez urazy pańskiéj. Abrahamka co dopiero wysłała konnego do drugiego miasta po więcéj towaru, bo wczoraj czarne wykupili panowie. — To przynieś brązowéj, czekóladowéj tylko wracaj.

Daléj opowiadanie wpada w odrazający cynizm a i tak dosyć żeby zmiarkować czém są powieści Pana W. W. *A B C. dla pełnoletnich dzieci* wziął sobie autor za wzór *Pamiętniki Diabla* Fryderyka Soulié, tylko naśladowanie jak w talencie tak i w niegodziwości ani się zbliża do oryginału i z gorzkiéj na wszystko co szlachetne na świecie satyry zrobiła się rozwlekła i trochę zwietrzałą moralnością zaprawna *dykteryja.* W artykułach: *O kolowaciźnie literackiéj* i *Szkice psychologiczne niektórych ludzi* niebrak dowcipu chociaż niesmacznego. Autor najlepiéj musi przy butelce prawdziwe i kłamane wydarzenia rozpowiadać.

Filozofii bezprzestannie pan W. przymawia, nie ma dzisiaj książki w któréjby nieznalazło się coś o filozofii, jeszcze szczęście, kiedy się kończy na ogólnikach, na *podmiotowości* i *przedmiotowości*, kiedy pisarz niezapuszcza się w nieznane okolice układów dawnych i nowszych, kiedy nierozprawia o *panteizmie,* przyznając się do niejakiego dla panteistycznych wyobrażeń współczucia, albo nie narzeka na barbarzyńską scholastykę, która chciała Europę w ciemności umysłowe pogrążyć. Z filozofią obchodzą się u nas jak z krajem zdobytym, wszyscy o niéj piszą: ci narzekając, tamci wynosząc pod

niebiosa, tylko jedni i drudzy zapominają się uczyć filozofii. Młodzież nasza tak się do niéj garnie jak rzymska za czasów Terenciusza.

Quod plerique omnes faciunt adolescentuli,
Ut animum ad aliquod studium adjungant, aut equos
Alere, aut canes ad venandum, aut ad philosophos....

Wiemy, że próżno się żalić, wszakże krytyce przemilczeć prawdy nie wolno. Komedya *Emancypacya Panny Sabiny* napisana jest niby na wyszydzenie kobiet filozofek, które pan W. skarykaturował w osobie Sędziny Razinoskiéj. Co tam za obyczaje, co za język! Sędzina przy córce i przy młodym hrabi Majonezie także plecie androny:

Ja, mówiąc w ogólności, biorę rzecz tę ze stanowiska absolutnego, jakie każda kobieta za podstawę czynności swoich uważać ma. (*Sabina uśmiecha się i bije palcem o palce, chcąc przez to powiedzieć „będę o tém pamiętala". Majonez grozi na nosie Sędzinie.*) Bywają wypadki, gdzie samowola córki względem ojca jest konieczną, bo kobieta nigdy ślepo mężczyźnie ulegać nie powinna i wolno jest udawać posłuszeństwo, ale, zachowując pozór przyzwoitości, niechaj zawsze idzie za popędem swojego serca (*Sabina cicho klaszcze w dłoń, Majonez ją caluje, Sędzina się obraca i z przerażeniem spostrzega całusy dane Sabinie*) Panie hrabio ... *Sabine retirez vous* ... Moglam zaś się spodziewać, aby pan Pantaleon w mojéj obecności ubliżał płci naszéj! aby pan hrabia obrażał strojność uczuć matki i córki? Miałeś pan zamiary względem mnie, ale, widząc, że jestem nieugiętą w zasadach i t d.

Trudno u nas o znośną komedyą i prawiebyśmy mogli z Kwintylianem powtórzyć *In comoedia maxime claudicamus.*

Ramoty są śmiało rąbanym stylem pisane, w ogóle literackiéj wartości w nich niewidzimy, artystycznie przypominają niemieckie kopersztychy z rodziny krewinklerów, które nieraz rozśmieszą ale częściéj rozgniewają. Być tylko może, że tam, gdzie nie istnieje silna a uczciwa opinia publiczna, nawet grube żarty z swawoli a bezwstydu, z lenistwa a nieuctwa, z nieładu a próżności mają niejaką użyteczność.

Wolne chwile Gabryelli przeczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością; w wierszach, które w tym pierwszym tomie zostały umieszczone, jest rzewne i delikatne uczucie, jest wiele

prostoty pomimo, że często jakaś pospolita mądrość światowa mętami na wierzch wychodzi. Na ludzi i na rzeczy za nadto się autorka żali, za nadto przypomina sobie swoje sieroctwo. Kto na świecie nie jest sierotą po osobach ukochanych i po własnych uczuciach, po myślach i po illuzyach, które rzeczywistość rozwijała. Kto wielekroć z kalinowego mostu na wodę unoszącą kwiaty wszystkich nadziei nie patrzył? Ale na co się przydało kwilić przed ludźmi i zasklepiać się jak jedwabnik w coraz gęstszą tkaninę smutku? Wznioślejszą jest i bardziéj Chrześciańską rzeczą, bóle własne zamknąć w tajniach serca a dla świata mieć tylko słowa miłości i pociechy, budząc świat do obowiązków, do wyższego życia. Pięknie mówi X. Marek w Beniowskim:

Patrz na mnie jestem także zmordowany.
A kto wie, co tam w mojém sercu płacze,
A jednak wziąłem w rękę krzyż drewniany
I idę, tuląc do głębi rozpacze . . . .

Autorce *Wolnych Chwil* zakłóciła pogodę duszy ***mądrość wieku bałamutna***, jak się wyraża Zaleski, zwątpiła i odtąd kłopoce się z własnemi myślami a wpływami zewnętrznemi. Czasem jéj słowa zdają się zdradzać powinowactwo ze szkołą Bruno Bauera.

Według mojego zdania, *pisze w przedmowie do Kościeja*, ten pochód umysłu człowieczego tak jest nieodzowny, że, gdyby dziś zostawiono nieświadomemu dawnych podań, czas i wolność tworzenia sobie religijnych wyobrażeń, ten nieświadomy tąż samą poszedłby drogą.

to znowu woła:

Czemu mi smutno? Czy to, że widziadło
Mądrości świata na duszę mi padło
I tak głęboko zapuściło szpony,
Że już niepomnę, że już mi się nie śni
Ani o cichéj modlitwie zmówionéj,
Na łonie świętéj dobréj mojéj matki,
Ani o szczęściu naszej biednéj chatki,
Ani o staréj ojców naszych pieśni,
Pieśni pamiątek — bardzo, bardzo staréj,
Pono na nutę nadziei i wiary.

i jeszcze:

Więc smutna jestem — smutna bo wiatr wieje,
Bo między złymi ludźmi sama chodzę
Bo mi nauka zabiła nadzieje...

kiedy indziéj lepszy śpiew zawodzi:

O nie, mnie nigdy ksiąg uczonych karty
Świętego słowa w sercu nie zaćmiły.
A Bóg, to wyraz niczem nie zatarty,
Co, jak go wieki w naturze skreśliły,
Tak znowu wieki z wieków się wyprzędą
I zawsze w końcu: Bóg — Bóg czytać będą,

albo:

Rozum, nauki, co mi do tego;
Ja kochać pragnę więcéj jak drudzy.
Kochać — bo miłość to mądrość Boża·

Nieśmiały skeptycyzm autorki nie razi i nieodpycha, więcéj w nim pierwiastków przez połowę zrozumianéj filozofii heglowskiéj nawet jakichś dalekiem echem odbitych przypomnień Byronizmu, jak rodzimego żywiołu. Kto tak żywo kocha, jak Gabryella, ten długo wątpić nie może, my przekonani jesteśmy, że prawdziwe uczucie zawsze zbawia; tylko po co lubować w zwątpieniach, po co ufać dumnemu zaspokojeniu ze zwalczenia trudnych początków oderwanych nauk. Przemówimy do niéj z Zaleskim: ***Dawno obok Anioł kwili, na kolanach czeka chwili*** powrotu do wiary —

Książka zaczyna się powieścią opartą na Mitologii Słowiańskiéj: pierwszą myśl do ***Mainy i Kościeja*** podały wyrazy Słotwińskiego: ***Kościéj czyli Koszczéj, porywał młode dziewice.***

Pagórek stał nad rzeką,
Na pagórku mogiły,
Promienie księżyca
Niepewnie daleko
Na ciemnych falach świeciły
A na mogilnym kamieniu
Siedziała dziewica
Biała w białém odzieniu
A nad dziewicą i nad kamieniem

Długim z pagórka cieniem,
Czarnéj zieloności jodła
Z Pochwistem ciche rozmowy wiodła.
Dziewica na grób małemu bratu
Przyniosła mleka, owocu, kwiatu;
Potém choć inne odeszły siostry,
Ona została:

tak się rzecz zawięzuje. Maina została i słucha pieśni, którą Kościéj z pod ziemi wabi; niespokojna matka darmo ją chce do domu odwołać, dziewczyna woli na mogile brata przysłuchiwać się duchom. Matka oddala się szukać sposobu na czary, a Maina znowu sama na dźwięk śpiewu Kościeja usypia. Przychodzą ją budzić, napróżno; stary kapłan Niklot zapowiada, że chyba się wtedy ocknie, kiedy usłyszy zaklęcie w imie większego szczęścia, jak to, o którém śpiewa Kościej. Na taki wyrok wszyscy serce tracą, tylko Krassa siostra młodsza ufa mocy obietnic swobody ziemskiéj. W święto Łady przychodzi gromada i zaczynają zaklęcia, kobiety, mężczyźni, dziewczyny śpiewają o dobrach ziemi, odpowiadają im duchy powietrza, gwiazd, morza, ognia, Krassa na końcu stacza bój z Kościejem i Kościéj zwycięża, Maina się nie przebudza. Upływa lato, jesień dżdżysta nadchodzi, druga siostra Boguta raz jeszcze na próbę się naraża; chce zakląć Mainę w imie obowiązku, ale Niklot nie daje jéj wymówić zaklęcia i radzi żeby Mainę zostawić:

Niech śpi Boguto, to sen błogi boski!
Kto ma siłę i mądrość, niech idzie wśród ludzi
Leczyć rany głębokie, koić długie troski
. . . .
Lecz kto ma serce tylko do czucia, do pieśni
Ten niech całe życie prześni.

Niepodoba nam się ta sentencya, znajdujemy, że poemat skończył się właściwie po zaklęciach Krassy, przewleczony daléj zmienił barwę fantastyczną na moralną i w pospolitości zagrzązł. W obrazie Mainy, śpiącéj za obłokiem na mogiłach długie dni i długie miesiące, jest coś przymuszo-

nego, ale spór ludzi z duchami śliczny pomysł. Głos kobiecy śpiewa:

Pogoda błękitna po polach biegała,
W leciutkie skrzydełka nad ziemią trzepała,
A strzegła od zimna, broniła od szkody:
Kwiateczki, owoce, płód kupała młody.
Myśmy je zerwały na twoje ołtarze,
Łado piękna, młoda, przyniesłyśmy w darze,
Bo tobie należą, póki ich niezmieni
Sroga burza lata — mroźny wiatr jesieni.
Łada! wielka Łada.

Odpowiada duch ziemi, a tylko Maina go słyszy:

Jest światów mnóstwo, lecz na moim świecie
Radość i szczęście, jak w szaleju kwiecie
Miód i trucizna — Tylko bracia twoi
Więcéj z trucizny wypili napoi,
Bo miodu mało — i nie każdy zdoła,
Tak go wydzielić jak skrzydlata pszczoła.
Na moim świecie mało jest wesela
I mało światła; ledwo czasem kiedy,
Z grubéj ciemnoty i wieczystéj biedy
Ku innym światom mój podał odstrzela
Weselnym wzrokiem, światlejszém promieniem
Nadzieją, lub zapomnieniem.

W głosach ludzi nie znać dosyć swobodnéj wybujałości życia, w śpiewach duchów brak przejrzystości a blasku, świat rzeczywisty ma więcéj kwiatów, więcéj krasy i więcéj woni, krainę duchów zawsze sobie bardziéj brylantową wyobrażamy; cóżkolwiekbądź *Mainę i Kościeja* przyjmujemy za utwór prawowitéj fantazyi.

W wierszu *Szczęście poety* pełno jest ładnych rzeczy; trzy chwile, trzy fazy, kwiatka, orła i kamienia rozwijają się przed nami różnobarwnym wieńcem:

Kamień nie czuje ludzie powiedzą;
Oh niewierz ludziom dziewczyno,
Żyły kamienia iskrami płyną.

Cały początek:

Ach być poetą, czy wiesz dziewczyno
Co to poetą być znaczy

porywa i wartością myśli i gładkością języka. Niezgadzamy się tylko na wiersze ostatnie:

Nie być mężczyzną, nie być kobietą
Prawem, co ludzie nakreślą;
Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą,
Dziewczyno — to być poetą.

Z rzewnego wiersza *Czemu mi smutno*, juześmy parę miejsc przytoczyli. W napisie *Na nagrobku młodéj kobiety w Bąkowéj* znajdujemy taki zwrot:

Ty od wszystkiego sama odbiegłaś
Nic nie odbiegło od ciebie.

W *Trzech pieśniach gęślarza* uderzają wielkie nierówności; *Fantazya* jest prawie naśladowana z Byrona, chociaż myśl główna odmienna. Gabryella wystawia nam starość świata wśród wiecznie młodéj i zieleniejącéj natury.

Gdzież była starość świata — starość w sercach ludzi
. . . .
Kiedy z chłopca mąż wyrósł, z dziewczynki dziewica,
Pierwéj nim wiek, namiętność zorała im lica.
Wpierw nim lat późnych troski, zwątpienie i chciwość
Przywiały im na czoło zbezcześcioną śiwość.
Żaden już głos na ziemi z uczuciem wesela
Nie wyrzekł imion brata, ziomka, przyjaciela!
Każdy był groźnym wrogiem lub wroga ofiarą
Przyjaźń zwano oszustwem, miłość śmieszną marą,
Sławę echem próżności — szczęście złem zuchwałem,
Poezyę próżniactwem — poświęcanie szałém.

Raz zjawił się człowiek, który wzniósł hymn proroczy, żeby ludzi słowem miłości odrodzić; nie usłuchali wieszcza i wszyscy marnie wyginęli, ostatniego żyjącego piorun zabił:

I w piękniejszéj naturze wszystko pięknie żyło
I wszystko było dobrze — bo ludzi nie było.

Wykrzykuje Gabryella z goryczą, za którą nie chcemy ją robić odpowiedzialną, bo jéj nie ma w sercu i tylko sobie coś obcego przypomniała.

Z pism prozą *Prządki* są zbiorem opowiadań o strachach w sposób, który przypomni lata dziecinne każdemu, kto za młodu rad słuchał gadek przy zimowym kominie na

wsi. *Capricio* rodzaj humorystycznéj gawędy mniéj nas zadowolniło, znać w niém ubieganie się za dowcipem, a dowcip jest to figlarne dziecko, im kto je bardziéj goni, tém mu trudniéj złapać.

Jeżli styl w *Wolnych Chwilach* nie zawsze jest dostatecznie poprawny, przynajmniéj potoczystość, pewna muzykalność i poezye i prozę zalecają. Wiersze słabe często można napotkać; ale autorka jak w natchnieniu tak i w usterkach trzyma się zawsze w pewnéj mierze i nigdy za nisko nie spada.

O *Poezyach* P. Berwińskiego przychodzi nam mówić po innych recenzentach; obudziły one powszechnie surowość sądów ludzkich i nie wiele trzeba odwagi, żeby jeden jeszcze wyraz nagany do tylu ostrych krytyk przyrzucić. My ocenićbyśmy chcieli nie tylko złą, ale i dobrą ich stronę, z przekonań naszych nic nie przemilczając, mamy zamiar poszukać, czy w téj mięszaninie różnych żywiołów myśli jakich jaśniejszych nie wynajdziemy. Przedewszystkiem będziemy się starali zapomnieć, czegośmy tylko pobocznie o autorze zasłyszeli; biorąc pod uwagę dzieło, trzeba się koniecznie oderwać od wpływów, jakie na umyśle wywiera znajomość osobistych stósunków pisarza: historya literatury ma na celu ogarnąć całość i wyobrażenia pobudkami rozświeca, krytyce ani słuchać ani sprawdzać oskarzeń nie wolno.

W dwutomowym zbiorze najwięcéj miejsca i najokaźniejsze zajmuje *Don Juan Poznański*, należy więc zacząć od Don Juana. Poemat składający się z dwóch pism, jest od początku do końca łatwą, gładką a rozpustną gawędą. Don Juan choć Poznański rości sobie prawo do Byrońskiego pochodzenia, w istocie świeci tylko blaskiem u satellitów Byrona u Alfreda de Musset i u Słowackiego dosyć zręcznie pożyczonym. Ale pomijamy podrzędną kwestyę naśladownictwa, ważniejszy daleko zarzut P. Berwińskiemu mamy zrobić, oskarzamy go o nieszczerość, o fałszywe przybranie powagi cenzora obyczajów. Nie, Don Juan nie miał początkowo na celu szydzić z wad i korcić zboczenia, w całym poemacie znać swobodne upodobanie, rozmiłowanie się

w dowcipie własnym i pustą wesołość, która nie znamionuje satyry dzisiajszéj. W takich epokach jak nasza satyryk jest zwykle mizantropem, gorycz z zawodów, niecierpliwe oburzenie, mdlący niesmak w nałóg mu przechodzą. Kiedy poeci czują bezpieczny grunt pod nogami albo się odurzają, żeby zapomnieć o grożącéj na horyzoncie burzy w czasach spoczynku, zmęczenia, wszelakiéj starości w satyrze panuje lekki żart i rozpustna mowa solą attycką wytwornie zaprawna; za Augusta mógł Horacyusz w imieniu oględnego a odzianego zepsucia wyszydzać wady nagie i nieutrefione; ale kiedy ohydne zbrodnie swobodę umysłów zakłócą albo wielkie nadzieje zagrzeją do działania serca szlachetne, kiedy się wątpi o świecie albo codzień niecierpliwe ręce do lepszéj przyszłości wyciąga, w czasach rozprzężeń, przejść, odrodzenia, tylko Juvenalis, tylko, że położymy obok dwa imiona; nieporównywając ich wcale, August Barbier zdołają chłostać, gryść i śmiać się. Między Horacyuszem a Juvenalisem, między Boileau a Barbierem tyle przedziału, ile między Krasickim a P. Berwińskim, najlepiéj nam tego dowodzi *Parabaza* gorzki ustęp zdradzający późne upamiętanie się, jakby wyrzuty sumienia w przebudzającym się z miękkiego snu pisarzu. — W *Parabazie* więcej jest gorączki i ckliwych skarg jak prawdziwego oburzenia, częściéj w niéj odgadujemy niepokój wewnętrzny jak szlachetną nienawiść do złego, wszakże nieraz są sprawiedliwe żale i oskarzenia, które w innych ustach mogłyby poruszyć i do surowego zastanowienia się nad obowiązkami poprowadzić. *Parabaza* tak się kończy:

A jeśli *(czytelnik)* z odrazą
Odwróci oczy od tego obrazu,
Powiedz mu. zkąd ja taką gorycz wyssał,
Boskiéj miłości tyle tam zakału
I tyle brudu i tyle bluźnierstwa,
Tyle łez w śmiechu, a we łzach szyderstwa;
Powiedz dla czego nienawiści związek
Trwa między nami — między mną a światem
Powiedz, że ja się brzydzę poematem
Który poświęcam: *Rycerzom podwiązek.*

Epigraf: ***But laissez aller Knights and dames I sing, such as the times may furnish*** wyraźnie nie wtedy został położony, kiedy się poemat tworzył, odnieść go musimy do czasu w którym pisarz myśl ***Parabazy*** powziął. Czy miał prawo tak przemawiać, takie wykrzykiwać godło, autor wierszy rozmyślnie swawolnych a nacechowanych rachubą zmysłowości, osądzi łatwo każdy człowiek dobréj wiary.

Wspomnieliśmy Juvenalisa, pełno w nim nieprzyzwoitości, obrazów nagości odrażającéj; ale któż go kiedy śmiał posądzać, że szuka, jak bawić zepsutych patrycyuszów swego czasu, kto kiedy satyry: *Hipokryci*, *kobiety*, albo tę okropną satyrę, któréj tytułu nawet niechcemy wypisywać a która w wydaniach naszych numer dziewiąty nosi, wziął za co innego, jak za wyraz pogardy i oburzenia? Don Juan nikogo niepoprawi, zepsuć może wielu, przepowiadamy mu wielką wziętość u wszystkich niedorostków i właśnie u *rycerzów podwiązek*, którzy, nie zaglądając w *Parabazę*, melodyą gładkich strof będą rozpustne swoje myśli kołysać. Czy o takie wieńce ubiegał się nasz poeta?

Że ktoś napisał wiersz dowcipnie bezwstydny, niedziwimy się, choć możemy pożałować, że tak nadużywa niepospolitych zdolności; że go powtarza w gronie nie podpadających już zepsucia rowienników zwłaszcza ile razy atmosfera dymu fajczanego przesłoni przyrodzoną wszystkich twarzy wstydliwość, a libacye Bachusowi umysły do rozpustnych myśli nastroją, to jeszcze od biedy możemy zrozumieć, chociaż nam krępuje dobrą wolę do pobłażania przypomnienie nie jednéj ze strof gdzieindziéj rozsianych, naprzykład:

Wróg kraj ujarzmił, nie siłą orężów,
Lecz nikczemnością i podłością mężów,
Zepsuciem niewiast i przez matek winy,
Co swéj ojczyznie takie dały syny.

ale że drukuje utwór, jaki w kategoryi studenctw i błędów młodości umieścić należy, jaki ludzie obdarzeni talentem brzemiennym żywotnością a dojrzałością zwykli palić, pilnie krzątając się, żeby za sobą zapomnianych odpisów niepozostawiać, temu się dosyć wydziwić nie możemy. P. Berwiński ma niezaprzeczenie wiele dowcipu, nie ubliżymy mu,

jednak mówiąc, że stoi daleko od Bokacyusza; otóż Bokacyusz, którego *Dekameron* od pięciu wieków łechce i brudzi razem młode imaginacye otwarte na wrażenia wszelkiego zepsucia, żałował w męzkich swoich latach, że się nie oparł natchnieniom zmysłowości i religijne odprawiając pokuty, martwił się rozgłosem swoich powieści. Pozwolimy sobie wyrazić nadzieję, że i P. Berwiński sam siebie kiedyś najsurowiéj osądzi. Mieliśmy już przed kilkudziesiąt laty poetę, który z szczególniejszém zamiłowaniem szukał rozpustnych przedmiotów: Kajetan Węgierski przewyższał P. Berwińskiego i w dowcipie i w łatwości i w sztuce władania językiem, a jednak, czémże przysłużył się krajowi, jaki wpływ wywarł na około siebie wśród wielkich okoliczności, w stanowczéj dla życia narodowego epoce? Żył marnie, bez korzyści dla drugich i nędznie umarł, żeby przynajmniéj jego przykład nie był stracony.

Lekkomyślność, z jaką P. Berwiński mówi o pamiątkach, któreśmy wszyscy szanować powinni, wywołuje surową naganę. Łatwo i w najszlachetniejszych na świecie rzeczach słabą stronę znaleść, źle, że ludzie ze wszystkiemi swemi błędami, ze wszystkiemi śmiesznościami są ich wyobrazicielami żywymi; wszakże tutaj mamy wyraźny obowiązek, jeźli nie przychylności to przynajmniéj milczenia, bo raz dopomagamy żartami niewczesnemi i oznakami lekceważenia czychającéj ze wszech stron niechęci, powtóre nie możemy z całą swobodą jedni drugim odpowiadać. Nam się zdaje, że jest coś małego w wyszydzaniu zasług wielkich czy drobnych, ale istotnych; tenby tylko miał prawo naigrawać się, ktoby sam więcéj zrobił a i tak utrzymujemy, że ktokolwiek się, służąc wielkiéj sprawie, odznaczył, zawsze mniéj szczęśliwych poprzedników uszanować umie.

Za przejście między Don Juanem a wierszami mającemi poważniejsze dążenia mogą nam posłużyć poezye miłosne, zawarte w *księdze światła i uludzeń;* wyraźnie jest między niemi wiele rzeczy z pierwszéj młodości pisarza i nie jednę ładną myśl, nie jedne świeże porównanie napotkaliśmy, wszakże darmośmy szukali wspomnień wiosennéj czystości, często we wtórze choć na chwilę zadrga strona rozpusty, z pośro-

dka róż często nas ukole ironia. Autor w harmonijnym wierszu tak cierpki żal wypowiada:

I ja — lecz po co niewczesnemi skargi
Niewczesnéj żebrać litości —
Dość, że i moje i te gorzkie wargi
Piły z kielicha miłości,
Dość, że nim skrzydła oddałem na wiatry,
Nim je brud życia opylił:
Dość, żem nie jednę perłę Kleopatry
Z niejednéj czary wychylił.
I cóż, że na dnie dopiłem się jadu,
Który w świat będę wyciskał ....

Między lepsze utwory działu miłosnego policzymy *Wspomnienia*, *Moje słońce* i *Moja gwiazda*, dwa wierszyki włoską delikatność w sposobie przypominające, wiersz *w Imionniku*, *Przestrogę*, choć w niéj znajdujemy przechwałki rozpaczy naśladowane ze szkoły Lorda Byrona, *Jawnogrzesznicę*, w której znać dalekie pokrewieństwo z Mickiewicza *Napokój grecki* i która, żeby nie brzydka ostatnia strofa byłaby artystycznie doskonałą. *Błogosławieństwo* do Sonetu Petrarki bardzo podobne i *Ostatni Romeo*.

Cały drugi tom zajmują wiersze socyalnéj treści, stanowiąc księgę *życia i śmierci*. Trudno wypowiedzieć, ile w nich gwałtowności, ile żałości, jaka ciągła przesada; tyle nawet gwałtowności i przesady, tyle sztucznego uniesienia, że co chwila musimy wątpić o sile przekonań autora; tak zwykle mówią i piszą ludzie, którzy w sercu nie czują nienawiści, rozkiełznanych uraganów w myśli nie trzymają, a chcą drugich w chórze przekrzyczeć i o swoim *hienizmie*, że użyjemy zapomnianego już trochę wyrazu, przekonać. Wyobrażenia, do jakich się P. Berwiński przyznaje, stawiają go na stopniu ślepéj zaciekłości, pisma jego na krańce wszelkiéj dyskussyi odsuwając. Cóżkolwiek bądź, my poszukalibyśmy odpowiedzi na główniejsze założenie i myśli, ale nas wstrzymuje pamięć, że trudniejsza w tym razie obrona jak zaczepka publiczna. Dwóch tylko kwestyj swobodnie będziemy mogli dotknąć: religijnéj i chłopskiéj.

W wierszach działu, który rozbieramy musimy przedewszystkiém stronę narodową od strony spółecznéj oddzielić: uczucie narodowe u P. Berwińskiego często wzniosłą, często rzewną odzywa się nutą. *Myszą wieżę* dawniéj już znaliśmy i wielce nam się podobała. Początek jéj jest śliczny:

O ziemio moja! ty coś dawniéj była
Kolebką wolnych, dziś wolnych mogiła —
Ja syn pośmiertnéj twéj grobowéj chwały
Pytam się ciebie — i gdzież się podziały
Dni twoje wielkie — gdzie ręka co wskaże
Świetności twojéj zwalone ołtarze?

Przytoczymy jeszcze ładny ustęp z wiersza *Wawel i Kraków.* Poeta tak się do staréj stolicy odzywa:

Dawniéj, gdyś była panią miast tysiąca,
Nad wszystkie wzniosła, wszystkim królująca,
Gdy liczne ludy i wielkie dwa morza
Hołd swój składały u twego podnóża;
Wtedy nie jeden z dawnych władzców świata
O twoją rękę zuchwały się kusić,
Zdolny do ślubów zwycięstwem przymusić;
Miecz doświadczony brał sobie za swata
I tak przychodził w miłosne zaloty
Przez krew i ogień i miecze i groty.

Z wierszy treści spółecznéj najważniejszym jest *Mogiła Kościuszki.* Autor wystawia ziemię polską zalaną potopem zbrodni, na wezbranych falach pływają rozbitki Kaimitów i wieszcz Kaimita samotnie pływa. Tonącym pokazuje się śmierć z kosą, na ten widok truchleją, tylko wieszcz jeden pojął, że jest jeszcze nadzieja, woła wielkim głosem, ale woła napróżno, wszyscy nikną w głębinie, wieszcz został w śród powodzi, zwraca się w biegu i widzi zdala wzgórze wznoszące się po nad wodami; na wzgórzu roi się tłum chłopów, do których wysiada i dowiaduje się, że to nie grób świata ale kolebka, że to mogiła Kościuszki. Trudno jest ocenić wartość estetyczną podobnego utworu: śmiałość fantazyi nie wynagradza w nim dostatecznie za przymus, bezustanne naciągania i brzydkość obrazów bezecnemi

szczegółami jaskrawych. Ale mniejsza o to wszystko i my zapytamy się P. Berwińskiego, jakiém prawem przychodzi głosić, że pruchniejące zepsucie jest wszędzie, wyjąwszy w ludzie wiejskim, i że się nietrzeba powrotu do dobrego spodziewać; w imie jakiéj nauki nadzieję nam odbiera? Wszakże w gorszych daleko czasach apostołowie chrześciańscy szli opowiadać słowo Boże a jednak niezwątpili o nikiem, nieprzeklęli nawet Senatorów Nerona, każdego starali się przekonać i nawrócić.

U niektórych pisarzy, a w poczet ich musimy i P. Berwińskiego policzyć, tylko chłopi są szlachetni, serdeczni, pełni poświęcenia, jak gdyby oni żadnym psychologicznym niepodlegali prawom, jak gdyby ich Pan Bóg wolnymi od ułomności stworzył; kto nie chłop, ten, wyjąwszy piszącego i jego przyjaciół koniecznie, nikczemny i zepsuty. Co za pole do żartów, gdybyśmy mieli serce wydrwiwać, manię, która jest przedewszystkiém śmieszna, ale za żywo czujemy, ile podobne wyobrażenia szkody narodowi przynoszą, żebyśmy się z niemi zimno bawić mogli. Cnota nigdy chwilowo nawet nie była wyłącznym przywilejem jednego stanu, cnota w ogóle nigdy przywilejem być niemoże; w jéj obliczu wszyscy ludzie są równi, bo ona należy do rzędu praw bezwzględnych, kto poczciwość tylko chłopom przyznaje, nie mniéj grzeszy, jak każdy, co ją jedynie klejnotem ludzi lepiéj urodzonych mieni. Wstyd nas istotnie, że się musimy wdawać w takie ogólniki, wszakże podobno najczęściéj światu przypominać trzeba prawdy najprostsze i najbardziéj znajome. Bodaj że się nieomylimy, twierdząc, że owe ciągle powtarzane o cnotach chłopów pienia, czy one sielankowe czy satyryczne noszą na sobie barwy, służą tylko za kamień, który się rzuca przeciwnikom politycznym z niecierpliwości młodzieńczéj albo nieudolności do poważniejszéj dyskussyi. Lud nasz ma niezawodnie wielkie zalety wrodzone i tradycyjne; na ich trwałéj podstawie starajmy się budowę przyszłości wznosić, oświecajmy chłopów, kochajmy ich szczerą, bezinteresowną miłością, pracujmy nad nimi z całą gorliwością, jaką w nas przeświadczenie o obowiązku rozżarzyć powinno; tylko nie wydzierajmy sobie wyłącznego współczucia

ciemnych jeszcze mass naszych, nie szukajmy drogi złych instynktów natury ludzkiéj, byleby zwycięztwo oderwanym naszym wyobrażeniom zapewnić, a, co nadewszystko odganiajmy daleko od siebie, myśl nieuczciwą, żeby chłopów brać za narzędzie. Współubiegać się nam wolno, ale tylko w rzetelnych zasługach, w dziełach miłości i poświęcenia.

W miernym wierszu *Na Gople* odzywa się poeta niby do starych słowiańskich Bogów: *z drogi, czego chcecie?*

Bez nadziei Boże stary:
W niepamięci gląb!
A ty duchu nowéj wiary
Zstąp ty na mnie zstąp!

Zstąp ty na mnie — a noc pierzchnie
I stanie się cud
I nim nowy dzień zamierzchnie,
Zbawion będzie lud!

W *Mogile Kościuszki* autor pokazał nam zgraję rozpustników ucztującą i szalejącą wśród powodzi, aż się spotkali z grobowym orszakiem,

Który pod wodę tyłem naprzód płynął,
Jak gdyby w dziejach ludzkości był rakiem,
A cały chmurą czarną się obwinął,
Jakby następca tego, co z Syonu
Wolę swą głosił przez usta piorunu.
Czarny był cały — i na czarnych krzyża
Ramionach swoje rozpiąwszy ramiona,
Podobnym każdy był do nietoperza
Każdy pochmurny pływak tego grona;
I na tym świętym odkupienia znaku
Byłby bezpiecznie dopłynął do lądu
Nowego świata — albo do dnia sądu
Każdy współpływak owego orszaku;
Tylko że wiara, która Piotra niosła
Przez głębie morskie bez żagli i wiosła,
Tylko że wiara owa już skonała
W tych ciasnych piersiach pod ciężarem ciała!
Tylko że pod tym ciężarem znak krzyża

Coraz się głębiéj w falach czasu nurzy.

. . . .

Płynie ów orszak z kościelnemi śprzęty

. . . .

. . . . a gdy dzikie wały

Ową nań zgraję rozpustną nagnały,
Zwarli się z sobą jak dwa wojska zbrojne:
Jedne w rozwiązłość a drugie w obłudę.
I taką z sobą rozpoczęli wojnę
Jak z tłustém bydło Faraona chude —
I zwyciężyli synowie rozpusty
I lekkomyślna płochéj zgrai noga
Ztrąciła z krzyżów niewiernych sług Boga
I powstał z głębi wielki głos: *oszusty.*

Gzieindziéj mówi P. Berwinński:

Prawdy szukałem — zdarłem fałszu maskę
Z oblicza chytrych — z poczciwego czoła
Cudowną wiary odpiąłem przepaskę,
Zasłona spadła — wyszedłem z kościoła.

Dość tych przytoczeń, żeby się przekonać, że P. Berwiński nie tylko nie wierzy, ale dzisiejszych ludzi religijnych ma albo za oszustów albo za spodlonych w modlitwie, jak to oświadcza w wierszu z napisem *Ubogim w Duchu.* Z pisarzem ogłaszającym takie przekonanie nie ma dyskussyi; gdzie sposób odzywać się do przeciwnika, który zawczasu szczerości albo rozumu innym zaprzecza? Ależ poeta nasz ufa instynktom ludu, poczciwości, rozumowi ludu, jakże w najważniejszéj rzeczy śmie się od niego oddalać, czemu chce go ciągnąć do wyobrażeń, które ponieważ się wśród niego niezrodziły, są oczywiście wedle niego skażone zarazą szlacheczczyzny. Sam autor, złorzecząc Bogu w jędrnym kawałku mającym tytuł *w Częstochowie*, gdzie znany wiersz Herwegha ***każdy krzyż bym przemienił na miecz obosieczny*** znajdujemy, władzy religii i księży nad chłopami nie przeczy. Mówi on:

. . . Gdyby fala ta głowę podniosła
I gdyby chciała pierś swą ścisnąć i rozwinąć,
Trzebaby wielkiéj ręki, żelaznego wiosła
I żagli geniuszu, by po niéj przepłynąć!

O! nie zaiste — dość jest żelaznego krzyża
I czarnéj sukni mnicha! — Patrz — Kapłan się zbliża —
Za nim drugi i trzeci, — już orszak ofiarny
Rozwinął się ponury milczący i czarny
Jak chmura tajemnicza; klękli — i lud klęczy —
Powstali — i lud powstał; jękli i lud jęczy
I w niebogłosy swoje podnosi wołanie
„Od głodu i niewoli zachowaj nas panie“

Otwartość P. Berwińskiego ma jedną dobrą stronę i jego pewnie nieposądzimy, że chce religii za środek używać, że z zimnym skeptycyzmem w sercu krzyż Chrystusowy oburącz do góry podnosi. Nagą prawdę zawsze i wszędzie wolimy od wyrachowanéj zręczności.

Za epilog do całego zbioru służy *Ostatnia Spowiedź w starym kościele*, w niéj powtórzone znajdujemy wszystkie oskarzenia i gniewy, ale na jakąś rzewniejszą nutę. Zwrot na siebie samego, wspomnienia młodości przywołały kilka łez do ócz poety, na chwilę powściągnął uniesienie nienawiści a, skoro tylko wytchnąć czytelnikom pozwolił, zrobiło się nam żal młodéj duszy tak sponiewieranéj w zapasach z wątpliwością a niesmakiem, żal świetnych zdolności licho zmarnowanych: mieliśmy jeszcze raz skarcić pisarza za tyle bluźnierstw, za niesłychaną lekkomyślność, z jaką się z największemi społecznemi zadaniami na świecie bawi; ale nas odstępuje wszelka ochota krytyczna, usuwamy nabok nowe formuły nagany; raczéj, żeby przyjemniejszą unieść pamiątkę, zanim zamkniemy książkę, pozwolimy sobie wypisać wstępny obraz do młodocianych P Berwińskiego dziejów; poeta mówi tam:

I kiedy myślą wrócę w te lata dziecinne,
Kiedy sobie przypomnę te miejsca rodzinne —
A pamiętam jak dzisiaj... Dworzec był chędogi,
Choć nie wielki — lecz wsparty na wielkich stał cnotach —
Nieprzystępny był złemu, bo miał niskie progi
I poczciwość na straży przy otwartych wrotach.
W oddaleniu na wzgórzu szumiał las dębowy
I ponure co wieczór prowadził rozmowy

Z dalekim krewnym swoim a bliskim sąsiadem
Z spanoszonym przy dworze owocowym sadem.

Wszystko to jest piękne choć przypomina P. Tadeusza i żałujemy że niepodobna nam dłuższego zrobić wyjątku.

Zakończymy kilku uwagami więcéj zewnętrznéj tyczącemi się formy. Zapęd w natchnieniu zwykle prędko u P. Berwińskiego słabnie, erudycya znowu, jaką okrasza swoje poezye, wydaje nam się za powierzchowną, nadto mozajkowa; wszakże autor ma wielką zręczność w zakrywaniu wszelkiego kalectwa, wszelkich niedostatków i nigdy wielkiemi usterkami albo pospolitościami nie razi. Językowa wartość wierszy naszego pisarza jest nie mała, zawsze potoczyste, łatwo powiązane, muzykalne, czasem wysokiéj artystycznéj jednolitością zwłaszcza szczególnych utworów nabierają wartości: wymienimy jako przykład niegodziwy z kąd inąd *Marsz w przyszłość*, który uderza pewną całością, śmiałością rzutu harmonią i wykończeniem. Rytm obcy zdaje się ciągle dźwięczyć w uszach poety, szczególniéj przypominają mu się wiersze, nasuwają zwroty Mickiewicza. W *Żeglarzu* znać naśladowanie *Pożegnania* i *Switezianki*, we *Wspomnieniach Snu* Byrońskiego. W rymowaniu wielkie spostrzegamy zaniedbanie, ale któż się dzisiaj z młodych wieszczów za rymami ogląda, sam P. Berwiński przyznaje że dobry rym *rzadkim* u niego *gościem*, jednak nie troszczy się o to i nawet, kiedy rymu nie może znaleść, z całą spokojnością człowieka wyższego nad te drobiazgi kładzie wyraz nieodpowiadający żadnemu innemu albo fałszywie odpowiadający. Ani Mickiewicz ani Zaleski tak nie robią.

Jeszcze pozostaje nam w niewielu wyrazach *Powiastki i Opowiadania Żołnierskie* ocenić. Pan Kosiński udaje wiarusa Napoleońskiego, bierze się pod boki, poprawia furażerki, pokręca wąsa i gada nam niesłychane rzeczy, klnąc się, że wszystko tak się wydarzyło, jak z jego ust słyszymy. Starym żołnierzom pozwala się kłamać: słońca stref odmiennych, huk nieprzeliczonych bitew, biedy najopłakańsze wywięzujące się w najświetniejsze tryumfy, zdolne są fantazyę z uszczerbkiem sumienności rozbudzić; tyle znowu wypadków, przypomnienia tylu wielkich ludzi, rojąc się po pa-

mięci, mogą się w niéj jak w kalejdoskopie mięszać i coraz inaczéj układać. Bądź co bądź, któż chętnie siwego inwalidy na opowiadanie niewyciąga? Kto potem pozwala sobie uważać, że starzec pewny pobłażania, czasem może spuszczając się na niewiadomość sluchającego koła, daty mięsza, nazwiska przekręca i dziwne wydarzenia dziwniejszemi jeszcze dopełnia szczegółami. Ależ P. Kosińskiemu podobne przewileje służyć niemogą, choć nieraz się opiera na powadze cudzéj: ile razy prawdę i zdrowy rozsądek obraża, działa rozmyślnie i pod sąd podpada; nawet gdyby się zastawiał łaskawością czytelników *Biblioteki Warszawskiéj*, którzy oddawna pozwalają mu bawić się w wiarusa, krytyka ma obowiązek oświadczyć, że nadużywa pozwolenia.

W ośmiu powieściach, które wszystkie dzieją się w Hiszpanii albo we Włoszech zawsze Polacy z krzywdą żołnierzy innych narodów piękną mają rolę. Polacy są ludzcy, grzeczni, dowcipni, w Polakach kochają się piękne damy, i to same córki grandów, hrabiny, i margrabiny. Francuzi wystawieni jako rabusie i grubianie, wszędzie nienawiść tylko obudzają. Wszystkie intrygi w jeden się mniéj więcéj zawiązują sposób i wszystkie ta sama kończy peripecya rzeź Francuzów a ocalenie Polaków.

Z Hiszpanią, o któréj najchętniéj i najobszerniéj się rozpisuje, autor nasz, obchodzi się jak ze zdobytym krajem. W jakich książkach naukowych a szczególniéj w jakich powieściach szukał sobie wiadomości, tego niepodobna się domyśleć, dość, że się z odwagą godną lepszego losu, rozwodzi o zwyczajach, obyczajach, okolicznościach miejscowych, o których nie ma najmniejszego wyobrażenia. Ciągle wspomina historyczne nazwiska hiszpańskie i albo je przekręca albo najzabawniejszą niewiadomość pokazuje. Mówi raz o dwudziestoletniéj wdowie *pokrewnéj Ursinich* (?!) *Alberonich* (?!?) *Infantadów*. Nie będziemy przytaczać więcéj podobnych omyłek. W powieści *Donna di Mendoza* (wspomnijmy przy sposobności, że po hiszpańsku niepisze się *Donna* ale *Doña*, co się wymawia *Donia* i że przed nazwiskiem trzeba koniecznie imie chrzestne położyć) nie wiedzieć, po

co wprowadza *Zurbana*, którego niedawno tak straszny los spotkał: żebyć jeszcze podawał prawdziwe szczegóły z dziwnego życia tego człowieka, z których niezawodnie możnaby powieść ukleić; ale nie, zmyśla całą historyę i bohaterowi pisze na czole *Zurbano* tak jakby mógł napisać *Mina* albo *el Pastor*. Nie ten jeden raz P. Kosiński bez potrzeby sławnych ludzi na scenę wyciąga. W *Powstaniu w la Chiesa* pokazuje nam Jenerała Bonaparte wymyślającego teatralne effekta tam, gdzie mógł całą rzecz w czterech wyrazach skończyć. Wszakże nie to jeszcze nie jest w porównaniu do lekkomyślnego oskarzenia:“

„Najsurowsze zalecenia dowódzców nic nie pomagały, gdyż ci sami dowódzcy jak Murat, Soult, Moncey i inni, pierwsi dawali i słowem i czynem przykład złego.“ —

Takich rzeczy nie godzi się bez sprawdzenia drukować. O Muracie nie miał prawa mówić P. Kosiński, w tamtéj epoce nie było go w Hiszpanii, zaczynał właśnie królować w Neapolu; Soulta słusznie dotknął, ale Monceya, który do grobu nieskalaną dochował poczciwość, który, że przytoczymy fakt powszechnie znany, kiedy zajął Saragossę wraz z marszałkiem Lannes, odmówił dobrowolnie ofiarowanéj sobie części skarbu Matki Boskiéj *del Pillar*, choć miał najgorszy przykład pod oczyma, skrzywdził niegodziwie:

Pomyłki chronologiczne dosyć często P. Kosiński popełnia — Raz mówi:

Ośmnastoletni młodzieniec walczył pod Arcole i Marengo (?), dwudziestoletni pod stopami piramid. Takiego ***lapsus memoriae*** nawetbyśmy prawdziwemu wiarusowi nie przepuścili. Przytoczone wyrazy z obcych języków nie zawsze starannie przepisane znajdujemy, nawet w imionach Chrzestnych są niedokładności . . Józef po hiszpańsku nie ***Joseppe*** ale ***José***.

Krótki wyjątek z powieści Bandyta, da najlepiéj poznać sposób autora:

Żołnierze przyjąwszy z radosnemi okrzykami mój rozkaz, poskoczyli z koni co żywo, odkiełznali je, porzucili siana, podsypali owsa, lance w małe piramidy złożyli i gorliwie wzięli się do przygotowania śniadania; o mnie téż wierny kucharz kompanii nie zapomniał wcale,

w mgnieniu oka z szczyp i badyli dzikiego winogradu ogień nałożył, kociołek nastawił, wrzucił do niego porządny zraz baraniny, podlał wina butelką, dosypał pieprzu, w miejsce soli garść prochu i miałem potrawę, któréj Bóg wie, jakieby nadać nazwisko, lecz to wiem, że, choć przydymiona nieco, przepieprzona nieżartem i na pół surowa, strudzonemu drogą, wygłodzonemu od rana, smakowała wybornie.

Pan Porucznik Signor di Ariano, który to, chociaż Włoch z urodzenia, nie zły zwykle miewał apetyt i po ludzku jeść lubił, na brzęk noża i aromatyczny zapach wychodzący z kociołka, podniósł się z twardego swojego posłania, wydobył świeże cygaro i niby dla zapalenia go przybliżył się do mnie. — Daléj kolego, wyrzekłem mu wtedy, porzuć dąsy, zapomniéj o wykwintném twéj Markizy śniadaniu i podziel ze mną strawę żołnierza. — Nie dał się długo prosić mój Signor, cigaretto schował do kieszeni i do jedzenia się zabrał; lecz, zaledwo mały kąsek pieczeni przez gardło przepuścił, zachłysnął się, zakaszlał i skrzywił niby go osa w język uszczypnęła. — Per Dio immortale! co to jest, wyrzekł, to trucizna, to ogień. — Pieczeń alla Pollacca odparłem, śmiejąc się, trochę pieprzna i nazbyt prochem zatrąca, ale zdrowa i smaczna. — Smaczna! pomruknął Włoch, diavolo! chyba dla waszych polskich żołądków. — Próżne były moje zachęty, ani chciał drugim uraczyć się kawałkiem.

Nie można P. Kosińskiemu odmówić rubasznego dowcipu i żołnierskiéj śmiałości w porywaniu się na wszelkie niepodobieństwa, nie można go znowu dosyć pochwalić za to, że unika rozspustnych opowiadań; nie przekracza on nigdy granic przyzwoitości, dla tego, choć nie mamy pociągu do podobnego rodzaju książek, w których ani stylu, ani myśli, ani obrazów nie znajdzie, przyznamy, że lepiéj w każdym razie bawić się gawędami wojskowemi o bitwach, o krajach dalekich, o namiętnym sporze zgnębionych przemocą Włochów i Hiszpanów, lepiéj rozgrzewać myśl pamiątkami które do szlachetnych uczuć przemawiają, jak smak i tęgość umysłową na miękkich romansach szczerbić. Pan Kosiński gniewa często widocznemi kłamstwami, fałszywą junakerą, ale przynajmniéj nie drażni słabości ludzkich, zmysłowości nie schlebia.

Korrespondencya

Przegląd piśmiennictwa Angielskiego.

Przeznaczając w piśmie naszém miejsce na peryodyczne zdania sprawy z ruchu literatur obcych, zamierzamy w nich tylko potoczne dzieje kreślić; ważniejsze dzieła w osobnych artykułach rozbierać będziemy.

Czynność literacka w Anglii osłabła od jakiegoś czasu. Konstellacya wielkich pisarzy, która zabłysła na początku tego wieku, powoli mrokiem się zasuwa. Southey umarł przed dwoma laty, Campbella przed kilkoma miesiącami pochowano w Westminsterze; Wordsworth zaledwie czasem rzuci jaki sonet od jezior północnych, Moore po stracie syna zupełnie zamilkł, stary Rogers już stoi nad grobem. Zaś poeci z młodego pokolenia Tennyson, Browning, Milnes jeszcze się nie posunęli w górę z niższych szczebłów parnasu.

Co się tyczy sławnych romansopisarzy, Marryat zszedł już z pola, Bulwer, odziedziczywszy znaczny majątek po matce, wyszedł na leniwego Krezusa, Dickens po ukończeniu ostatniéj najlepszéj powieści pod tytułem Martin Chazzlewit wyjechał po zdrowie i po nowe wzory za granicę. Tak osierociało pole i tylko się na niém mniejsze talenta krzątają: Ainsworth, który wydaje tajemnice Londynu; James romansowy dziejopis Francyi; Lever humorysta Irlandzki; Pani Zrollope, która jakby spuścizną syna pisarską ochotą obdarzyła; w końcu pani Goze potrzebą zmuszona co rok cztery albo pięć powieści ogłaszać. O Israelim mówiliśmy osobno. Wielką dziś mają wziętość powieści panny Bremer tłómaczone ze Szwedzkiego; wielkie także zrobiła wrażenie niemiecka powieść: „Bursztynowa Czarownica“. Ktoś pozazdrościł Meinholdowi i wydał zmyślony dziennik Lady Willoughby z czasów

Karola Igo; oszukaństwo prędko się wykryło, ale, choć podobne nadużycie dobréj wiary publicznéj zasługuje na najsurowszą naganę, książka cała jest napisana z taką ujmującą prostotą, że przetłómaczyćby ją było można.

Ile razy na nowe plony nieurodzaj przyjdzie, to przemysł literacki rzuca się odmładniać i odświeżać dawne arcydzieła. Z tąd mamy dzisiaj tyle edycyj i tyle kommentarzów do Szekspira. Wydawcom należałaby się pochwała, gdyby niebrali wiekowych pism za środek do pochlebiania szalonéj manii rycin i obrazków. Dziś wszystko musi być illustrowane, zdobne obrazkami w Anglii, od Miltona do przekładu Żyda Wiecznego, od świstka, który wciskają w rękę przechodzącym koło nowo otwartych sklepów aż do poważnéj księgi religijnéj treści. Trzy dzienniki tygodniowe w Londynie przesadzają się w przepychu rycin na drzewie i w taniości. Jeden z nich (the Railway Bell) dał niedawno przy numerze kosztującym pół szelinga (jeden złoty) mappę Londynu najmniéj złoty wartującą. Kiedy Królowa jeździła nową giełdę otwierać, kupujący tak oblegli „The illustrated News", że musiano zamknąć sklep i napisać: „Para nastarczyć nie może." Za to współubiegający się dziennik „The Pictorial Times" wywiesił chorągiew z napisem: „chodźcie tu! Wystarczyło pary." Dzienniki, które tylko na starannéj redakcyi polegają, ledwie się mogą utrzymać, bo, kiedy rylce w robocie, pióra ustawać muszą. Wielki to cios dla literatury.

Z zaniedbania poważnego czytania rodzi się smak do krótkich a lekkich i zręcznych artykułów. Ztąd miesięcznym pismom zwanym w Anglii Magazynami dobrze się dzieje. W jednym z nich była niedawno rzecz o Chorągwiach i znakach wojennych w Polsce przez półkownika Hamiltona Smith, w innym opisanie Świąt wielkanocnych polskich.

Jest jeszcze ogólna przywara w wieku naszym tak płodnym w druki; mało komu chce się czytać całe dzieła i samemu zdanie sobie o nich tworzyć, wygodniéj i sąd znaleść i dobrane wyjątki przeczytać w doskonale pisanych przeglądach. Wziętość przeglądów a szczególniéj kwartalnych jest niesłychana. Do dawnych *Edimburgh Review* (Whigowskiego), *Quarterly* (Torysowskiego), *Westminster* (Radykalnego),

Dublin (katolickiego), że niewspomnę o mniéj znakomitych, przybył teraz *North British* (Szkocki Prezbiteriański) i *New Quarterly* (organ młodéj Anglii). W ostatnim rozebrano w tych czasach Pamiętniki Niemcewicza, które wyszły w języku angielskim.

Puzeizm rodzi pism co niemiara; wzmiankę o nich odkładamy do osobnego artykułu. Episkopalizm odpowiedział niedawno dziełem „Lachrymae Ecclesiae“.

Z dzieł, których wziętości chwilowa pomyślność niewyczerpnie, wyszły teraz rozprawa Leigh Hunta o Imaginacyi i Fantazyi i wiersze pani Brown, między któremi najcelniejsze trzyma miejsce poemat *Gwiazda Alleghee*; w nim bohaterem Polak, a bohaterką dziewica Czerkieska.

W narodzie tak do podróży skłonnym jak Anglicy, oczywistą jest rzeczą, że się mnożą opisy obcych krajów. Dzisiaj wszakże furor biographicus daleko za sobą podróżomanią zostawia. Byle kto pisze pamiętniki, lada człowiek publiczny może być pewny kronikarza. Z ważniejszych w téj gałęzi dzieł wyszły w przeszłym roku biografie i pamiętniki Lorda Eldon, doktora Arnold Wilhelma Taylor i Jakóba Harris lorda Malmesbury. Są w druku: Depesze Nelsona, Pamiętniki Xcia Malborough z odkrytych przed kilkoma miesiącami manuskryptów, i pamiętniki Sir Hudsona Lowe.

Z pamiętników Harrisa Lorda Malmesbury, który był w Polsce w r. 1767 wyjmujemy co następuje:

„Xiąże Repnin poseł Rossyjski, gra w Warszawie daleko „większą rolę jak król. Postępowanie jego jest tak dumne „nawet względem osób pierwszego rzędu, a tak przeważnie „zalotne względem kobiet, że aż strach na to patrzeć. W ra„dzie nieustającéj włada on despotycznie i zamyka usta każ„demu, ktoby śmiał się oświadczyć przeciw jego woli. Tak „samo obchodzi się i z królem.“

„U prymasa onegdaj opowiadano u stołu o dawnych mo„narchach polskich, którzy wygnani z kraju, musieli na tuła„ctwie udać się do rzemiosł i pracy ręcznéj. Jeden z nich „był złotnikiem we Florencyi (!). Król rzekł, obracając się „do Repnina, że, gdyby padła na niego podobna przygoda, to

„z głoduby umarł, bo nie wie, jakąby sztuką zarobić na ży„cie — Pardonnez Sire, odpowiedział Ambasador, Votre Ma„jesté sait toujours très bien danser“

„Król raz tak się do mnie odezwał: — Quant à moi je „ne sens que trop les èpines, avec lesquelles (cytujemy dosło„wnie) ma couronne est semée. Je l'aurais déjà envoyée à tous „les cinquante mille diables, si je n'avais pas hesité d'aban„donner mon poste. Croyez-moi, ne courez jamais après „les grands emplois. Il n'en resulte que des amertumes. Quand „ils viennent inattendus et non cherchés acceptez-les. Si „j'avais suivi cette maxime, j'aurais mieux fait. Mon ambition „m' entraina. J' osai prétendre à une couronne, j' ai réussi „et je suis malheureux.“

Są jeszcze w pamiętnikach lorda Malmesbury szczegóły o Xciu Radziwile *Panie kochanku* i inne ciekawe rzeczy, które na teraz pomijamy.

Wiadomości bieżące.

Na przeszłoroczném Wystawie Sztuk Pięknych w Berlinie, między nielicznemi obrazami, które zasłużenie ściągnęły na siebie uwagę znawców i publiczności, w pierwszym rzędzie jaśniały dwa dzieła pędzla młodéj Polki Elizy Bauman. Oba dużych rozmiarów, oba przedstawiają sceny wieśniacze, narodowe. W obrazie mniejszym chłopka w niedzielne szaty przybrana, z wstążkami u chustki na głowie a koralami na szyi, niesie na ręku śpiące dziecko; dwoje starszych dzieci idzie za nią. W drugim góral tatrzański, góralka w kożuchu i dwoje śpiących niebożątek spoczywają na gruzach swojéj chaty; z tyłu widać szeroki zalew wody. Oba przedmioty pojęte dobrze i śmiało narysowane; ale, co na szczególną zasługuje pochwałę, to raz brak drobiazgowości w wykończeniu, która jest zwykle szkopułem młodych malarzy, powtóre jędrność i świeżość kolorytu przypominającego wprawdzie zmysłowe bogactwo Rubensa z jednéj, złote odblaski Rembrandta a jeszcze bardziéj Ferdynanda Bola z drugiéj strony, niemniéj jednak mającego w sobie coś istotnie rodzimego. Z dwóch obrazów wolimy pierwszy; chłopka jest śliczna, chroni się ona z dziećmi przed jakiémś nieszczęściem, twarz ma pociągającą, w jéj rysach znać cichy smutek a jeszcze może więcéj znużenie; podana naprzód silnie trzyma śpiące dziecko, którego rumiana twarzyczka od jéj bladości odbija; z brzegu czepia się matki chłopczyk na pół płaczący ze spuszczoną twarzą i ślicznemi lnianemi połyskującemi włosami, ten wyśmienity; drugi z chlebem przy ustach, w kapeluszu na głowie, odsunięty nieco w tył mniéj dobry, nie dla tego, że twarz jego raczéj wskazano jak wykończono, bo tak należało się zrobić, ile że trochę w cieniu umieszczony, ale że odrysowana w całéj okrągłości jest oddana za miękko i wygląda jak cielista plama. Światło w tym obrazie bije z przodu,

jest bardzo dobrze rozdzielone i głównie na trzy twarze pada. W grupie góralskiéj mężczyzna uderza pięknością rysów, typ w nim wybornie uchwycony, ale w twarzy nieznajdujemy żadnego wyrazu; kobieta znowu za delikatnie wygląda i za okrągło nad dziećmi się pochyla, nie znać w niéj ani silnéj, ani bezwładnéj boleści. Oświecenie jakby od zachodzącego słońca jest naturalne w swojéj ponurości, a ciemny krajobraz szeroko rozlaną wodą smutnie uderzający, zupełnie z przedmiotem harmonizuje. Obadwa obrazy cechuje to smutne polskie uczucie, jakie w pieśniach ludu zawsze dźwięczy, snać panna Bauman ma wysoki instynkt sztuki, kiedy zdołała tak swobodnie, a tak głęboko narodowemi przedmiotami się natchnąć. Młoda artystka wiele obiecuje na przyszłość, sposób może zmienić, nabędzie zapewne większéj śmiałości rysunku i pędzla, myślimy, że koloryt, nieosłabiając jego mocy, rozjaśni. Wszakże ufamy, że w utworach swoich cechę samoistności zachowa i że pozostanie wierna natchnieniom narodowym. O obrazach, o których mówiliśmy to wiemy, że *rodzina góralska* niedawno nowe pochwały na wystawie w Duesseldorf wywołała, zaś *chłopkę z dziećmi* kupił X. Wilhelm Radziwiłł.

Wyszła w tych czasach litografia z rysunku P. Alexandra Lessera, wystawia *bitwę Mołdawian z Krzyżakami.* P. Lesser jest uczniem mistrzów Monachijskich, szczególniéj Schnorra, w którego sposobie śmiało massy grupuie, dając dowolną wybitność głównym postaciom i od którego przejął nieco pociągu do teatralności. W téj litografii jak i w innych P. Lessera utworach, obrachowania i sumiennéj pracy nie brak, rysunek mało zostawia do życzenia, tylko czuć, że artysta nie miał swobodnego natchnienia. Wielkie i piękne drzewa, których konary nad walczącymi namiot tworzą, wrażenie ogólne powiększają. P. Lesser już kilka obrazów olejnych z dziejów polskich zrobił; najważniejszym jest *obrona Trębowli.* Niedawno wykończył podobmno *Wincentego Kadłubka* do kaplicy prywatnéj.

Słychać, że w Warszawie mają za pieniądze pokazywać zbiór obrazów dzisiejszych niemieckich malarzy; cieszylibyśmy się, gdyby sumienna chęć przedsiębiercami kierowała; niech zrozumieją, że im lepiéj istotny smak w powszechności polskiéj obudzą, tém większych materialnych nawet spodziewać się będą mogli z czasem korzyści . . .

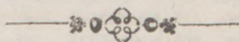
Piśmiennictwo krajowe prawdziwą przez śmierć Dominika Magnuszewskiego poniosło stratę. Młodo on zawód swój literacki zaczął; jeszcze w szkołach warszawskich będąc, pisał zręczne wiersze i dał w r. 1829 na *teatr rozmaitości* komedyjkę *Stary kawaler*, którą z wielkiemi przyjęto oklaskami.— Późniejsze jego prace znane są wszystkim; jeźli w nich widać jakąś nużącą manierę, jeźli nie zawsze smak wytrawny i myśl zupełnie jasną znajdujemy, za to silna fantazya i uczucie artystyczne przebijają się w każdym utworze. Magnuszewski nie ziścił może wszystkich nadziei jakie z razu obudził; umarł w sile wieku w Galicyi, gdzie od lat kilkunastu przemieszkiwał.

Akademia Francuzka traci bezprzestannie z grona swojego wyobrazicieli różnych kierunków piśmiennictwa z epoki *restauracyi*. W tych czasach umarli: *Etienne* autor dramatyczny, którego *Dwaj zięciowie i Hilary* znane są w przekładzie polskim, i który należał do najgwałtowniejszych zwolenników wolteryanizmu, i *Alexander Soumet* uczuciowy Chrześcianin o wyobrażeniach trudnych do zamieszczenia w jaki z przyjętych działów. Z lepszych jego utworów wymienimy trajedye *Klitemnestra i uczta Nerona*. *Boska Epopeja*, którą przed trzema laty wydał, mierne zrobiła wrażenie. Jedno z miejsc, które zawakowały w Akademii otrzymał *Alfred de Vigny* powieściopisarz odznaczający się wyobraźnią, smakiem i stylem i wcale nie należący do zastępu pisarzy z rzemiosła. Jego *Stello* i *Cinq Mars* prawdziwą mają wartość. Na miejsce *P. Soumet* obrany został *P. Vitet*.

Boska Komedia Dantego prawie aż do naszych czasów stała w historyi piśmiennictwa jako dzieło pojedyńczego człowieka, który nic od poprzedników swoich nie wziął, wszystko stworzył i wielkim cieniem, jaki rzuca, ma prawo zakryć całe średnie wieki. Pierwszy Xiądz *Cancellieri* ogłosił przed dwudziestu kilku laty poemat *Wizya Mnicha Alberyka*, poemat z XII. wieku daleko wcześniejszy od *Boskiéj Komedyi* a wyraźnie w niéj naśladowany; odtąd krytyka literacka inne źródła, inne analogie wynalazła, i dziś zaludniły się dla nas pustynie owoczesne. *P. Ozanam* znakomity profesor w Sorbonnie w Paryżu, autor dzieła *Dante i filozofia jego czasu*, drukuje właśnie teraz w piśmie czasowém *Le Correspondant* ciąg artykułów *O źródłach poetycznych Boskiéj komedyi*, stanowiących treść jego lekcyj w Sorbonnie miewanych.

W miesiącu Lutym zszedł ze świata w Berlinie profesor *Henryk Steffens*, filozof ze szkoły *Szellinga*, badacz natury i poeta. Urodzony w Norwegii, w Kopenhadze nauki wyższe odbył; w Kiel zaczął nauczać przy uniwersytecie r. 1796. potem był profesorem w Halli i w Wrocławiu. Do Berlina został wezwany r. 1831. Zawód wojskowy i polityczny *Steffensa* w wojnie francuzkiéj mało nas obchodzi, nie będziemy także oceniać jego kolei religijnych i usiłowań dla sprawy połączenia kościoła luterskiego z reformowanym; z licznych dzieł, jakie ogłosił drukiem, nie jedno a szczególnéj, *Die Familie Walseth und Leith, die vier Norweger Malcolm*, tudzież niezmiernie ważne i pociągające pamiętniki własne pod tytułem: *Was ich erlebte*, mogłyby nas zastanowić, ale nie myślimy się nad niemi rozszerzać, naszym zamiarem jest pamięć jego, jako profesora w kilku wyrazach uczcić. Wielu Polaków słuchało *Steffensa* w Wrocławiu i w Berlinie, i wszyscy miłe unieśli wspomnienia z prelekcyi starca, który choć cały oddany nauce, żywość młodzieńczą i serdeczność do końca zachował. Wykład jego był mniéj ścisły, fantazyi często z uszczerbkiem powagi naukowéj wodzy popuszczał, ale miał tyle świeżości

w myśli, w sposobie tyle pokazywał ojcowskiego do młodzieży przywiązania, że, jeźli mniéj od innych nauczył, wykształcił więcéj, każdém słowem dodając wiary w cnotę i szlachetność. Katedry swojéj do saméj śmierci nieopuścił; umarł w 72. roku życia. Z *Szellingem* łączyła *Steffensa* bliska zażyłość. — Szelling, otwierając w tym roku kurs swój filozofii mitologii, pierwszą godzinę poświęcił ocenieniu uczonego zawodu Steffensa.



Przez zbieg nieprzewidzianych okoliczności druk pierwszego numeru Przeglądu Poznańskiego, jest bardzo niepoprawny; znaki pisarskie zostały przemienione, akcenta fałszywie podawane, litery niewłaściwie przekręcone, najczęściej samogłoska *i* średniki zastępuje. Wszystkich omyłek niepodobna sprostować, wytkniemy tylko najważniejsze.

Strona	33	wiersz	6	zamiast	gdzie	czytaj	przecież tam
	34	—	12	—	warte, są	—	warte. Są
	34	—	16	—	zrozumiałymi	—	zarozumiałymi
	35	—	36	—	Urghart	—	Urquhart
	36	—	36	—	Crokez	—	Croker
	39	—	22	—	Sr. John	—	St. John
	41	—	14	—	nowotworstwa	—	nowatorstwu
	43	—	9	—	jednem	—	jednym
	44	—	5	—	pokucie	—	pokoju
	44	—	22	—	niewinności	—	niewierności
	45	—	29	—	Haltamem	—	Hallamem
	47	—	3	—	godzi w istocie	—	godzi. W istocie
	47	—	7	—	narodową. Smak	—	narodową, smak
	49	—	34	—	światu	—	światłu.
	59	—	1	—	Woromspire	—	Wormspire
	59	—	18	—	podwójnéj	—	pod jéj
	64	—	12	—	rzucają się	—	ruszają się
	64	—	21	—	natchnienie	—	natchnienie religijne
	65	—	7	—	słuchać	—	widzieć
	65	—	19	—	zajmującą	—	znającą.

Spis rzeczy.

Redaktor J. Koszutski.